№ 18. Warszawa, dnia 1 Maja (19 Kwietnia) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Życie społeczne*: Świeżego powietrza! — *Polityka*: Tydzień polityczny. — Z Rusi halickiej p. I. Franko. — *Powieść*: Dwugłos miłości. Fantazya p. W. Okońskiego. — *Badania naukowe:* Obyczajowe czynniki własności II. p. Ad. J. Cohna. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: K. Łepkowski. Poezya polska na nagrobkach z XVI wieku p. B. — Piotr Chmielowski. III. — Literatura czeska: II. Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego p. Jana Karłowicza.—Kronika filozoficzna p. N. H. — *Poezya*: Dumka p. Włodzimierza Wysockiego. — Szturm Meletusów p. A. Świętochowskiego.—*Fejleton*: Na widnokręgu p. Nieborskiego.—O prawdę p. K. Chrząszczewskiego i J. L. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŚWIEŻEGO POWIETRZA!

Bez względu na to, jaką wartość dla życia mają silne prądy polityczne, społeczne i umysłowe, nietylko nadają one rozwojowi ruch, ale nadto w każdym narodzie oczyszczają pojęcia i zasady, potęgują w nich pierwiastki szlachetniejsze, podnoszą uczucia i myśli do wyżyn ogólniejszych. Więcej korzyści przynosi ludziom idea błędna, niż żadna. Najfantastyczniejsze systemy, najdziwaczniejsze wierzenia, najmylniejsze teorye, jeżeli roztaczają się długim promieniem i ogarniają wielkie koło spraw i zagadnień, nie oświetlając nawet umysłów, doskonalą charaktery. Cisza bez mocnych podmuchów jest dusznością, jałowość bezpłodna — głodem.

Porównawszy obecny dziesiątek lat z poprzednim, przyznać musimy, że weszliśmy w martwą, dławiącą ciszę. Elektryzujące nas tak niedawno jeszcze idee naukowe, przestały działać na nerwy nasze. Kogo dziś obchodzi darwinizm, pozytywizm, samorodztwo, dzieje tworzenia się przyrody, a wreszcie konserwatyzm lub postęp? Pierwszy plan zajęła... konkurencya zbożowa i nieschodzące z niego nigdy marzenia polityczne. Utopia ta może być piękną, ułudną, ale ona nie wytwarza ruchu, nie dostarcza sprężyn życiu bieżącemu, a ten lub ów przełom ekonomiczny nie zapala umysłów, tylko je gnębi. Przyczyny tej bezwładności nie spoczywają w braku ożywczych źródeł, ale w zwężonych łożyskach ich ujścia, w zatamowaniu lub sparaliżowaniu sił czynnych i twórczych, którego usunąć niepodobna.

W każdej ciszy nietylko mocniej rozbrzmiewa słaby głos, ale chętnie się odzywa — bo wtedy jedynie może być słyszanym. Gdy gwiazdy wielkich idej pogasną — zapalają się kaganki i łojówki, które tylko w ciemności świecą. Tak dzieje się obecnie u nas. Miejsca ideałów zajęły karykatury kastowych lub osobistych interesów, szczytne hasła zagłusza harmider. Na widok publiczny otwarcie wynoszoną bywa pełna misa, jako przedmiot bojów, a wysokość honoraryów, jako miara zasługi społecznej. Obijają nam się o uszy słowa bezwstydnej gwary, że Paweł zwymyślał Gawła za tyle, a Jacenty wyskarżył się za tyle rubli. Jeżeli przed 15 laty wybuchały namiętności, to nie z nadzieją zamiany na monetę. Dziś widnokręgi publicystyczne zakreśla byle śmiałek końcem własnego nosa, na który zatknął dobro społeczne. Skandal puścił bujne łodygi i rozkrzewia się na wszystkie strony. Nic łatwiejszego jak być dziś wołającym na puszczy. Lecz gdy wystrugasz sztuczkę, leć z nią na rynek i pokazuj, a tłumy cię otoczą. Masz ziarnko pieprzu — żuj je i pluj tę przyprawę w bigos hultajski, łakomie spożywany. Złowiłeś drobną awanturę, zrób z niej bąka i puszczaj dla powszechnej uciechy. Ale jeżeli masz cóś do okazania, co ci w mózgu lub sercu się sperliło, schowaj i milcz. Nie mów o swej bezinteresowności, bo ci dowiodą, że kradniesz płucami powietrze, będące własnością ogółu, nie wdziewaj szaty białej, bo ona odbijając promienie słońca, razić będzie wzrok przyślepły. Wszystko jedno — czyś mądry, czy głupi, uczciwy lub łotr, staniesz niżej od najgorszych, jeśli z nimi nie podpiszesz umowy, ażeby cię pod ręce prowadzili. Interesy osobiste, obnażone, osłonięte zaledwie liściem figowym lichego pozoru, wystąpiły na jaw i domagają się swoich praw, zbywając cynicznymi uśmiechami protesty w imię względów ogólniejszych. Życie stało się targiem.— kończonym zgodą lub waśnią. Najlepszym obywatelem jest ten przedsiębiorca, który zawarł najwięcej z innymi kontraktów. Przez głowy ludzkie przetacza się walec maszyny, który przygniata wystające, nie dotykając umieszczonych niżej poziomu. Małość musi być ubezpieczoną. Nie wskaże ona nigdy, komu się powierzyć trzeba, bo wyznaje równość. Jeden dla niej za pyszny, drugi za silny, trzeci za surowy, czwarty za sztywnie się kłania, a wszyscy szkodliwi. O kim nie można zapomnieć, kogo nie można przydeptać, trzeba go nienawidzieć, osaczyć obławą, szczuć ogarami i dosięgać nabojem.

Po nad tym jarmarkiem drobnego handlu, kułakowych bójek i pijackich śpiewów krzyżują się pioruny, które lada chwila mogą spaść i zdruzgotać całą gromadę.

Czy tej groźby nikt nie widzi? Owszem wykazuje ją wielu. Czy posnęły w nas szlachetniejsze uczucia i podnioślejsze myśli? Drzemią — ale obudzą się, bo niemi wstrząśnie konieczność. Nieraz już wstawaliśmy rzeźwi z dłuższych letargów. Trzeba wierzyć, że i ten wreszcie się skończy. Społeczeństwo nasze, chociaż zbyt zdenerwowane i często zapada w rozstrój, jest jeszcze młodem, ma w sobie dużo sił, żywotności cywilizacyjnej. Zdrowsze, lepsze jego pierwiastki odzyskają przewagę i według moralnego powinowactwa zjednoczą się w prądach, płynących nie spodem życia, ale jego górą. Bez tej nadziei trudno byłoby działać na rachunek przyszłości, lecz chyba zaryglować przeszłość i rozstawić kramarski stolik dla sprzedaży ryb, łowionych w mętnej wodzie bieżącej — co dziś stało się przedsiębiorstwem najczęściej uprawianem. Dotąd daremnie takim rybakom targamy sieci i dziurawimy czółna, ale — czas jest dłuższy, niż najbardziej wyciągnięte samolubstwo, a on ma ostre nożyce, któremi przecina wątłe pasma egoistycznych robót

ludzkich. Oby on — bo do niego tylko odwoływać się możemy — zmiótłszy pajęczynę, otworzył co prędzej okna naszego zbiorowego domu, odświeżył go i napuścił weń światła. Dusimy się w zatęchłem powietrzu i szturgamy po ciemku, rodząc płody skrofuliczne.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeszcze przed świętami telegramy przyniosły wiadomość o starciu zbrojnem między grekami i turkami. Sądzono, że potyczka ta będzie sygnałem do rozpoczęcia wojny, kiedy tymczasem w wielki poniedziałek nastąpił nowy zwrot. Od początku zawikłań Francya zajmowała przychylne stanowisko względem dążeń heleńskich, teraz ułatwiła rządowi ateńskiemu odwrót honorowy. Uprzedzając zbiorowe wystąpienie mocarstw, rząd francuski zażądał od Grecyi rozbrojenia, i gabinet Delyanisa chętnie przyjął tę propozycyę, z zastrzeżeniem, że prawa narodowe greków otrzymają poparcie Francyi. Zanim więc przedstawiciele Europy zdążyli wysłać ultimatum, gabinet ateński oświadczył już, że rozbrojenie rozpocznie. Obrażona Europa nie wie, co ma z tym fantem zrobić, żeby więc nie stracić uroku, powołuje czekającą spokojnie od kilku miesięcy eskadrę zbiorową i nakazuje wykonać demonstracyę morską, która właściwie nie ma teraz sensu, bo celem jej może być tylko zmuszenie Grecyi do tego, co już dowolnie wykonywa. Zresztą zgoda mocarstw nie jest zupełną i Francya nie jest tak odosobnioną, jak się na pozór wydaje, gdyż i rząd rosyjski zastrzegł sobie swobodę działań. Telegramy, donoszące o demonstracyi floty w Pireus, mówią tylko o statkach włoskich, niemieckich, angielskich i austryackich, widocznie więc Rosya cofnęła się od tej niepotrzebnej zgoła zabawki. Czy protekcya p. Freycineta pomoże grekom, wątpić wolno, ale ułatwiła im wycofanie się z drażliwego położenia. Wmieszanie się Francyi jest pierwszym śmiałym krokiem w polityce zewnętrznej rządu republikańskiego, postępek ten obraził próżność dyplomatów i wykazał całą nicość mniemanej „zgody europejskiej,“ tembardziej, że są objawy, iż niektóre gabinety przechylą się na stronę Francyi, chociaż dzisiaj pozornie jeszcze podtrzymują komedyę wspólnego działania.

Firman sułtański, mianujący księcia Aleksandra gubernatorem Rumelii, pozostawia mu zupełną swobodę działania, ponieważ pozwala rządzić prowincyą lenną bez żadnych prawie ograniczeń, „zgodnie z wymaganiami chwili.“ Szczęśliwego tryumfatora czekają teraz trudniejsze do zwalczenia rozterki wewnętrzne. *Moskowskija Wiedomosti* donoszą, że rząd bułgarski stara się wyzwolić z pod wpływów i zapomnieć o zobowiązaniach względem Rosyi. Wojskowym zabroniono mówić po rosyjsku, duchownym modlić się za Cesarza. Zdaniem korespondenta niewdzięczność taka może nietylko oburzyć, ale zuchwałe jej objawy należy skarcić.

Parlament angielski, jak pisaliśmy, odroczył swe posiedzenia do 3 maja. Przeciwnicy projektów irlandzkich Gladstone'a prowadzą teraz szeroką agitacyę, ale i zwolennicy pierwszego ministra nie zasypiają sprawy. Bradlaugh zwołał wielki meeting, na którym uchwalono poparcie projektów. Inny radykał znowu, Labouchere, wniósł poprawkę, ażeby posłowie irlandzcy zasiadali również w parlamencie angielskim. Zdaje się, że przyjęcie tego wniosku zapewniłoby większość głosów bilowi, ponieważ znaczna część opozycyi powstaje przeciw niemu dlatego tylko, iż obawia się rozbicia państwa.

Wojska angielskie opuściły już granice Sudanu, wycofały się także i załogi egipskie. Powstanie wywołane przez Mahdiego dopięło swego celu i niezależność Sudanu jest już faktem dokonanym. W Afryce mogą jednak powstać nowe zawikłania, bo jeden z sułtanów wschodniego wybrzeża rozkazał wymordować całą osadę europejską, złożoną głównie z anglików i włochów. Wogóle polityka kolonialna rządu włoskiego odnosi ciągłe porażki i głos narodu coraz wyraźniej oświadcza się przeciw bezcelowemu marnowaniu życia i pieniędzy. Jest to nowy jeszcze, dodatkowy argument przeciw gabinetowi Depretisa, który nie mogąc zorganizować potrzebnej większości, ostatecznie rozwiązał Izbę. Gdyby jednak nastąpiła nawet zmiana ministeryum, będzie ona wyłącznie osobistą, ponieważ w parlamencie włoskim nie ma wybitnych stronnictw (z wyjątkiem grupy czystych zachowawców) ale tylko partye Depretisa, Cairoliego, Crispiego itd.

Rozruchy robotnicze przeszły przez ocean i przybrały szerokie rozmiary w Stanach Zjednoczonych. Rząd amerykański wszakże w rozwiązaniu tej sprawy nie idzie za przykładem kolegów europejskich, ale zajmuje stanowisko neutralne. Manifest prezydenta zwraca uwagę narodu na konieczność uregulowania stosunków pomiędzy pracą a kapitałem i nie szczędzi słów prawdy stronie silniejszej.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 18 kwietnia 1886.

Sprawa rusińskich czytelni ludowych. — Deputacya „Narodnej Rady“ u namiestnika. — Wzgląd zaufania.

Klerykalna i urzędowa reakcya, która się obecnie u nas coraz więcej wzmaga, głownie ma na oku zgniecenie wszelkich zawiązków samodzielnego ruchu ludowego nietylko śród rusińskich, lecz i mazurskich chłopów. W tym celu nasza „hierarchia społeczna“ stara się albo wziąć ten ruch zupełnie w swoje ręce i prowadzić lud na pasku do swych celów, tak jak to czyni z „Kółkami rolniczemi,“ albo też zgnieść go w drodze administracyjnej. Tego drugiego sposobu osobliwie często chwyta się wobec rusińskich towarzystw ludowych, czytelń, kas pożyczkowych itp., nie pomna na to, że podkopując te zarody zdrowego i naturalnego rozwoju, z jednej strony wzmacnia tylko nieufność i podejrzliwość ludu względem siebie, a z drugiej strony podrywa i same podwaliny życia konstytucyjnego, wolności zgromadzeń i stowarzyszeń.

Częste, a ostatnimi czasy coraz częstsze występowanie władz powiatowych przeciw rusińskim czytelniom z powodów zazwyczaj błahych, urojonych lub też żadną ustawą nieumotywowanych, zakazy otwierania czytelń pomimo prawomocności statutów, aresztowania i odstawiania założycieli ich zapomocą żandarmów do dalekich miast powiatowych, a wreszcie i poufne upominania chłopów ze strony władz, żeby czytelń nie zakładali, bo z tego mogą mieć kłopoty — wszystko to spowodowało, że wydział założonego niedawno politycznego towarzystwa „Narodna Rada“ wysłał deputacyę do namiestnika Zaleskiego dla wyjaśnienia tej sprawy. Wzięli w niej udział: dr Aleksander Ogonowski, prof. lwowskiego uniwersytetu, p. Romańczuk

POWIEŚĆ.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Fantazya.

— Nie — bezpieczna po za okołem zwierzęcych ścigań, wsłuchaj się spokojnie w tę harmonię zgrzytów. Dotąd ją tylko czułaś, teraz o niej pomyśl. Czy wiesz, czemu ona tak dzika, wściekła, ohydna? Bo za słabo brzmi w niej dźwięk, którego ty daremnie szukałaś i ja nie znalazłem.

— Odsuńmy się jeszcze dalej od ziemi, która nas jak przepaść ciągnie.

Zaledwie uszli kilka kroków, mężczyzna znowu zatrzymał się i mówił:

— Zagadki poznania każdy otwiera innym kluczem, ze skarbca tajemnic każdy wykrada inną prawdę, którą uważa za nieomylną busolę i chce nią wyznaczać kierunek wszystkim. Gdy za nim nie podążą i ze swoimi wskaźnikami w różne strony się rozbiegną, on ich dopędza i chłoszcze złorzeczeniem; gdy jego przewodnictwu się powierzą, prowadzi ich dłużej lub krócej, wreszcie ustaje zmęczony błądzeniem i radzi, ażeby towarzysze zaufali własnym busolom. Wiedza człowieka uszlachetnia i obdarza siłą, wiedza ludzi zbliża wzajemnie, ale ich trwale nie spaja mocnemi ogniwami. Nad ludzkością jak nad jej siedzibą zatoczył się krąg ciemnoty, który niby rzeszotem zasłania nam słońce prawdy; przepuszcza on tylko przez niezliczone dziurki pojedyncze jej promienie, w których zawieszamy się i drgamy jak luźne pyłki. A i ciebie—czy pokrewna wiedza ku mnie popchnęła?

— Nie.

— I nie religia, bo nawet żaden Bóg, czczony kornie przez swych wiernych, nie zdołał ich zjednoczyć. Ludzie, którzy wierzą w tego samego stwórcę i rządcę świata, którzy modlą się w tych samych świątyniach, wyznają te same dogmaty — albo żyją obok siebie zdaleka jak głazy na polu, które można jedne drugimi rozbijać, albo jak rozżarte tygrysy wpijają sobie kły w gardła a pazury w piersi. Stań po nad gromadą klęczącą przed ołtarzem i skupioną pobożnem uniesieniem, spuść w nią odłamek cennego kruszcu — jeśli uboga, lub kawałek chleba — jeśli głodna, a zewrze się gwałtownie około ponęty, stłoczy nad nią swe głowy, zmotane przez chciwością i huknie gniewem, wyrzucając z siebie zwycięzcę. Wiążące ją łączniki wspólnej wiary prysną wtedy jak szklane pętliczki. Wiary zupełnie jednakiej, gdyż najsłabszy w niej odcień różnicy wystarczy, ażeby ci, którzy uznają nad sobą tegoż samego Boga, mordowali się i zawieszali jako wota w przybytkach jego chwały zdarte z nienawistnych czaszek skóry. Daremnie religia wmawia w człowieka, że każdy bliźni jest jego bratem, on, zaprzysięgając to powinowactwo słowem, łamie je czynem. Słuchaj — czy rozeznajesz w hałaśliwej zawierusze głosów ziemi dwa ich aż do nas tu bijące prądy? To Nowy zakon walczy ze Starym, jak syn z ojcem, którego pragnie wywłaszczyć i z żebraczym kijem na rozstajne drogi wypędzić. Tam znowu na ciele ludzkości jątrzy się druga rana, tam—trzecia, tam—czwarta, tam piąta i setna a wszystkie fanatyzm rozpalonym hakiem rozkrwawia, gdy zaczynają się zabliźniać. Powiedz, może dojrzałaś lub przeczułaś we mnie współwyznawcę twej wiary? Może mniemasz, że oddam pokłon twojemu bóstwu a ty mnie za to sercem wynagrodzisz?

— Nie.

— I prawo ludzi rozgradza, ale ich nie łączy. Sypie ono tylko groble i wały, stawia płoty i parkany, tworzy klatki i więdzidła. Ubezpiecza człowieka, daje mu

i p. Bełej, redaktor *Diła*. Deputacya prócz ustnych wyjaśnień złożyła na ręce namiestnika referat o krzywdach, wyrządzonych przez rozmaite władze rusińskim czytelniom ludowym.

Odpowiedź namiestnika na przemówienie dra Ogonowskiego była bądź co bądź wielce charakterystyczną. Gdzie koniecznie trzeba było uznać nieprawne postąpienie władz, tam p. namiestnik zasłonił się zwykłym w takich razach brakiem urzędowej relacyi i obietnicą przeprowadzenia śledztwa. Zakaz otwarcia czytelni w Żabiu (ogromnej wsi huculskiej, obecnie przez niesumienny urząd gminny strasznie zrujnowanej) usprawiedliwia p. namiestnik wmieszaniem się w tę sprawę „znanej pary socyalistów, jedynej w całym kraju,“ chociaż ta para socyalistów mieszka obecnie we Lwowie, a w Żabiu, wątpię, czy kiedy nawet była. Lecz najciekawsze były motywy zakazu czytelni w Sokołowie, którą starostwo nie pozwoliło otworzyć dlatego, że założyciele, prócz jednego, nie umieli ani czytać, ani pisać. „W ustawie— rzekł na to p. namiestnik — nie ma wprawdzie postanowienia w tym względzie, że założyciele czytelni muszą być ludźmi piśmiennymi, lecz władza polityczna, bacząc na organizacyę rusińskich czytelń, bezsprzecznie idącą „z góry,“ bo wszystkie statuty mają jednę i tę samą formę, musi zwracać uwagę na całą tę robotę i w danym razie wziąć w rachubę i *swój wzgląd zaufania lub niezaufania*.“ No, Bogu dzięki! Przecież już przez tę konstytucyjną gęstwinę doszliśmy do punktu, gdzie zaczyna się czyste pole — samowoli! Bo jeżeli zaufanie lub niezaufanie administracyi ma rozstrzygać, to po licha nam paragrafy, zabezpieczające każdemu obywatelowi kraju pewne prawa i swobody bez względu na to, czy władza ma do niego zaufanie, czy nie? Zaufanie, to rzecz tak osobista i niepochwytna, że ją i wymierzyć trudno, a cóż dopiero stosować się do niej w rzeczach tak zasadniczej wagi, jak sprawa rozwoju ludu!

Lecz nietylko słowa namiestnika charakteryzują obecny nizki stan naszego barometru konstytucyjnego; niemniej dobitnie znamionuje go i to, że żadne z naszych pism, ani rusińskich i polskich, nawet nie zwróciło na nie uwagi. Każde społeczeństwo ma taką wolność, na jaką zasługuje. Jeżeliby nam obecnie wedle tej maksymy wymierzano naszą konstytucyę, toby nam nie dano — żadnej. *I. Franko.*

BADANIA NAUKOWE.

OBYCZAJOWE CZYNNIKI WŁASNOŚCI.

II.

Wspomniawszy jeszcze o czynnikach moralnych, które w świecie starożytnym dodatnio wpływały na rozwój własności, jak o szczodrobliwości, gotowości do ofiar publicznych, utrzymywaniu bezpłatnych zakładów wychowawczych i t. p., Feliks przechodzi do wieków średnich. Jako główną cechę, odróżniającą ten okres od poprzedniego, widzi on w tem, że okrucieństwo względem obcych szczepów i ludów przestaje być usprawiedliwionym sposobem postępowania. Z tem wszystkiem zbójectwo ściśle jeszcze jest związane z rzemiosłem wojennem, jak tego dowodzą szczególniej arabowie i normanowie. Pierwsi zajmowanie się rabunkiem zawsze uważali za rzecz godziwą, a Mahomet nietylko nie przeszkodził im w tem, ale sam także brał udział w wyprawach łupieżczych. Co do drugich — wielu z pomiędzy ich bohaterów rozpoczynało karyerę, jako rozbójnicy. Tak np.: Robert Guiscard, który rabował trzody, chwytał robotników i zmuszał ich do okupywania wolności swojej chlebem i winem. W ogóle do wypadków zwykłych należały zbrojne napady na kupców podróżujących z towarami i najazdy wasalów na posiadłości panów lennych. Nadzwyczaj smutnym był stan Rzymu w XI w., na wszystkich drogach plądrowali rozbójnicy, którzy najczęściej rzucali się na pielgrzymów. Skrytobójstwa stały się czemś powszednie; szlachcice rzymscy nie wahali się wtargnąć jednego razu do kościoła św. Piotra i porwać z ołtarza dary pobożnych. W skałach Kampanii gnieździli się hrabiowie-opryszki. Nie lepiej było w wieku XII i XIII, a w XIV, skutkiem oddalenia papieży, było jeszcze gorzej. Do zwykłych złoczyńców i ich żołdactwa przyłączali się młodzi klerycy, po większej części z rodu szlacheckiego, którzy, na mocy przysługującego im przywileju, nie podlegając sądom świeckim, zakłócali spokój ulic i bezkarnie dopuszczali się przestępstw wszelkiego rodzaju. Za Inocentego VIII mordercy otrzymywali za pieniądze listy żelazne papieskie dla ochrony przeciwko sądom i pozwolenie orężnego bronienia się przeciwko krewnym zabitego. W innych państwach włoskich poziom moralności w tym samym czasie bynajmniej nie stał wyżej. Jak wtedy zapatrywano się tam na łupiestwa i gwałty, przez szlachtę dokonywane, charakterystycznem jest jedno z opowiadań Boccacia w *Decameronie*. Jakiś bandyta rycerski Ghino di Taco ściągnął na siebie gniew opata z Cluny, którego wziął w niewolę. Otóż opat wybaczył wszystko bandycie, dowiedziawszy się od niego, że wypędzony został ze swojego domu i dworu, oraz że licznych i potężnych ma wrogów, tak, że stał się rozbójnikiem nie z przewrotności, ale powodowany jedynie dążeniem ocalenia życia i klejnotu szlacheckiego. Opat uznał to za tak naturalne, że odtąd stale obdarzał Ghina łaską swoją i niejednokrotnie wstawiał się za nim do papieża Bonifacego VIII. W nielepszem świetle przedstawiał się stan obyczajowy pozostałych krajów Europy. Obok grabieży i nieposzanowania dla cudzej własności, powszechnemi prawie były oszustwa i podstępy najrozmaitszego rodzaju, fałszowanie dokumentów, sprzedajność i lichwiarstwo. Z pośród tych ogólnych mroków atoli prześwieca kilka jasnych promieni i łagodzi przykre wrażenie gwałtów i nadużyć. Zrodzonemu przez feudalizm bezrządowi chaotycznemu w części, jakkolwiek bez ładu i systemu, zaradza zmysł dobroczynności, potężny wpływ wywierając na podział własności. Ponad rzekami wielkiemi budowano mosty, a obok nich schroniska dla pielgrzymów. U przewozów rzecznych bezpłatnie dostarczano ubogim łodzi i przewoźników. W trudnych do przebycia stronach Apeninów i Pyreneów, wśród dzikich przepaści alpejskich nad wędrowcami czuwało miłosierdzie. Osoby prywatne często domy swe zamieniały na szpitale i zarządzały takowymi, służąc biednym i chorym. Niemniej często też były przytułki dla starców niezdolnych do pracy, dla podrzutków lub sierot, dla niewidomych, głuchoniemych, podróżnych bezporadnych, wyposażenia biednych dziewcząt, okupy z niewoli i wsparcia dla wyswobodzonych, rozdział bezpłatny opału, stypendya dla niezamożnych uczniów i zakłady dla ubogich położnic. Zapisy na cele dobroczynne, przeważnie na szpitale, pod koniec wieków średnich stały się wprost zwyczajem. Prócz tego wszystkiego jeszcze zaznaczyć należy poparcie, jakiego wówczas ze strony możnych doznawały nauki i sztuki piękne.

Rozpoczynając charakterystykę czasów nowożytnych, Feliks przytacza ciekawe cy-

---

broń, okrywa go pancerzem, uzbraja do walki, ale uczucia z uczuciem nie sklei. Nie dokona tego również moralność całym przyborem hamulców. Gdy dobroczyńca przychodzi do nędzarza, nie mówi: wesprę cię, nakarmię, okryję, bo to moja powinność, ale powiada: wspieram cię, bo budzisz we mnie miłosierdzie. Czy wszakże nawet to miłosierdzie jest magnesem siły działającej trwale? Wysycha szybko jak łza na rzęsach powieki. Zresztą choć szata sprawiedliwości jest piękną, występki obcinają jej poły i kroją sobie z nich lamowania i ozdoby dla zbójeckich burek. Temida ledwie ma czem okryć swą nagość, niedługo zostanie jej tylko przepaska na oczach. Gdy itę zedrze jej niecnota, biedna bogini będzie musiała zamknąć oczy na zdrożności, spełniane pod jej wezwaniem. Z miecza jej porobiono zdradzieckie sztylety a z wag miseczki do mierzenia żerów samolubstwa. Tak, towarzyszko moja, moralność najwyższem natężeniem swej mocy zdolna jedynie ludzi utrzymać w zgodzie, a przy niemocy — dostarczyć im zaledwie masek obłudy. Czy ona kazała ci ujść ze mną?

— Nie.

— Patrz, na ziemi zamigotały pożary, kto wskakuje w ognie płonących domów na ratunek śpiącym? Mądrzy, religijni, prawi, moralni? Tylko kochający: rodzice narażają swe życie dla dzieci, dzieci dla rodziców, oblubieńcy dla oblubienic, małżonkowie dla małżonek, przyjaciele dla przyjaciół — reszta rozumnych i głupich, nabożnych i bezbożnych, uczciwych i podłych tłumem otacza ognisko i przygląda się ciekawemu widokowi.

Świat jest obciągnięty całunem nocy, skołtowany burzą i odmętem zwaśnionych żywiołów; jeżeli kto w nim ocali siebie lub kogoś — to tylko przez miłość. Tak wszystkie inne liny przy nawie życia popękały lub splątały się w wichrach, że ta jedna trzyma jeszcze żagiel. Byłem nieszczęśliwy osamotnieniem śród ludzkiego rojowiska, czekałem tylko, kiedy mi rozpacz wyleje z kielicha napój gorzki, napełni go trującym i poda do ust, ażebym wypił toast śmierci. Tyś mnie wskrzesiła słowem, które brzęczało często koło moich uszu, ale nie zagrało nigdy w mej piersi pieśnią zmartwychwstania. Kochasz więc?

— Z serca mojego krew ustąpiła, ażebyś je zajął całe. Kochanku drogi nie zechciej go opuścić, bo ono już przyrosło do ciebie. Odurzona rozkoszą, mdleję w marzeniu, którego czary rozpływają mi się po żyłach. Szłam za tobą długo przez pustynie, przez moczary i skały, przez zasadzki i skryte sidła, nie pokrzepiając się niczem, prócz nadziei, że cię kiedyś ramionami mojemi oplotę...

Zawisła mu na szyi. W długim uścisku dusze ich wsączały w siebie pocałunkami czysty zdrój uczuć i posyłały w ciszę podniebną szept dwugłosu miłości.

Tymczasem słupy pod świetlaną drogą czarny mrok zgarnął, jej szlak, zwężając się i kurcząc powoli, stopniał w ciemności, pozostawiwszy tyle jedynie blasku, ile potrzeba było do jasnego odbicia uniesionych nad ziemią kochanków.

Wkrótce burza, owinąwszy ich lekkim obłokiem, cisnęła w wir ziemi, w którym dotąd krążą.

* *
*

Gdy Noc rozpostrze nad światem swój płaszcz i zasiądzio na tronie, gdy zgasną światła, zamilkną uczciwe głosy i ustanie ruch, gdy drapieżne instynkty rozpoczną pogoń i walkę, smutni i zrozpaczeni błyskawicznym szlakiem uchodzą w krainę napowietrzną, gdzie ratują się ślubami miłości.

W. Okoński.

fry, wykazujące pośrednie szkody, jakie przyczyniają społeczeństwu przestępstwa przeciwko własności. Opiera się on w tym względzie na danych, przedstawionych na kongresie w r. 1883, odbytym w Huddersfield, przez dyrektora policyi londyńskiej, Howarda Vincentego. Podług słów tego ostatniego przestępstwa w W. Brytanii wymagają corocznego nakładu sumy około 6 milionów funtów sterlingów, która rozdziela się tak: na policyę 3,500,000 funtów, na więzienia i zakłady karne 602,000 funtów, na domy poprawy 482,000 funtów, koszta sądowe 322,000 funtów, wartość skradzionych przedmiotów przynajmniej 1 milion funtów. Zapobieżenie, wykrycie i ukaranie przestępstw zatrudnia 64,000 osób. Oto są namacalne, rzec można, koszta przestępstw. Daleko większe, jakkolwiek niemożliwe do skonstatowania są straty, jakie ponosi kraj wskutek zaniedbanego wychowania dzieci więźniów, wskutek złego przykładu, ruiny ofiar grabieży, kosztów większej czujności po domach i sklepach itp. W ogóle w epoce nowoczesnej daje się dostrzedz zjawisko, że w miarę ustępowania z widowni siły brutalnej, na pierwszy plan wysuwają się oszustwa wszelkiego rodzaju, ukrywanie przestępstw i sprzedajność, oraz, że czyny te, zwłaszcza w państwach ucywilizowanej Europy, nie są już tak łagodnie oceniane, jak to miało miejsce w wiekach średnich, nawet śród lepszych sfer. Do oszustw, które od końca wieku XVI najwięcej podrywały stosunki własności, autor zalicza fałszerstwo monet. W Niemczech około 1622 roku rozwinął się formalny handel fałszywymi pieniędzmi, w następstwie czego pomiędzy ludnością liczne wywiązywały się spory, a nieraz nawet do krwawych przychodziło starć. Uciekała od panów służba, zbiednieli kapitaliści żyjący z procentów, studentom dalsze istnienie stało się niemożliwem, piekarze nie chcieli piec, rzeźnicy bić bydła, lekarze opuszczali chorych, prawnicy rzucali praktykę, nawet rolnicy przeniewierzali się pracy swojej. W lat siedmdziesiąt mniej więcej potem obraz zupełnie podobnych stosunków, na większą tylko skalę, przedstawiała Anglia. W r. 1692 doszło tam do tego, że określenia funt i szyling przestały oznaczać pewną sumę pieniężną, a fałszerstwo monety rozwinęło się do tego stopnia, że znikła wszelka miara wartości. W każdem miejscu monety miały inną wartość, niczego bez sporów kupić nie było można, co sobota przychodziło do utarczek pomiędzy pracodawcami, a robotnikami, ceny zaś artykułów żywności rosły do nieskończoności. Macaulay poważnie zastanawia się nad pytaniem: czy wszystkich nieszczęść, jakie w ciągu ćwierci wieku spadły na Anglię wskutek niedołęstwa królów, słabości ministrów, nieodpowiedniości parlamentów i sprzedajności sędziów, nie przeważyła niedola, jaką w ciągu jednego, jedynego roku sprowadziło fałszerstwo monety. W r. 1696 przesilenie monetarne stało się powodem gwałtownej katastrofy w świecie handlowym angielskim. Z pomiędzy obfitości niezmiernie interesujących szczegółów, jakie podaje Feliks o fałszerstwie w dziedzinie sztuk i nauk przez podrabianie starych rękopismów i rozmaitych zabytków archeologicznych, o szulerstwie, przemytnictwie, przeróżnych podstępach na polu handlowo-przemysłowem itp. — dla braku miejsca wybieramy tu tylko to, co mówi o zgubnym wpływie pijaństwa na rozwój własności w czasach nowożytnych. Podług statystyki kryminalnej państwa niemieckiego 42% wszystkich przestępstw i wykroczeń, popełnionych zostaje w stanie nietrzeźwym, stosunek zaś ten w morderstwach wzrasta do 63%, a w wypadkach ciężkich uszkodzeń cielesnych aż do 74%. Stosownie do sprawozdań parlamentu angielskiego skazano za pijaństwo w Anglii i Walii w roku 1880—1881 osób 174,481, a w roku 1881—1882 osób 189,677. Dobroczynność publiczna najczęściej musi przychodzić z pomocą z powodu opilstwa ojca rodziny; w Anglii $^3/_4$ wszystkich wsparć nie inną ma mieć przyczynę, w Niemczech nawet $^9/_{10}$, a w Genewie $^4/_5$. Z cyfr tych przekonywamy się zarazem, jak często alkoholizm burzy szczęście rodzinne. Jakkolwiek ludy szczepu romańskiego wogóle odznaczają się umiarkowaniem, to jednak konsumcya gorzałki w ostatnich dziesięcioleciach powiększyła się we Francyi do tego stopnia, że wielu, dokładnie znających stan rzeczy na miejscu, przypisuje rozluźnienie obyczajów i brak dyscypliny w armii francuskiej podczas wojny 1870/1 roku pijaństwu. W większej części krajów spożycie wódki w ostatnich lat dziesiątkach w znaczniejszym wzrastało stopniu, aniżeli ludność. W szwajcarskim kantonie Bern np. w ciągu lat 50 spożycie to powiększyło się o 20 razy. W Bazylei często zamiast obiadu dają dzieciom wódkę z chlebem. Podobnież rzecz się ma w Galicyi i niektórych okolicach zachodnio-alpejskich. W Wielkiej Brytanii spożycie gorzałki wzrosło ze 121 milionów litrów w r. 1860 do 130 milionów litrów w roku 1870 i 179 milionów litrów w roku 1878. Najbardziej zastraszające rozmiary atoli przybiera konsumcya napojów wyskokowych w Stanach Zjednoczonych. Podczas kiedy w r. 1840 spożyto tam 71 milionów galonów, w roku 1850 było 94 milionów, w r. 1860 — 202 mil., w 1870 — 293, w r. 1880 — 506 milionów, a w r. 1883 — 655 milionów galonów. Coroczny wydatek na te napoje wynosi tam obecnie przeszło 800 milionów dolarów. Obok tego, podobnie jak w Anglii, tak samo i w Stanach Zjednoczonych, pijaństwo wśród kobiet szerzy się w sposób prawdziwie zatrważający. Do schronienia dla pijaków w New-Yorku przyjęto w r. 1868 osób z klas zamożniejszych 2153, a pomiędzy temi 1300 córek „bogatych domów.“ Podług najnowszych danych statystycznych w rozmaitych krajach zużywają się następujące ilości wódki pięcioprocentowej (z włączeniem kobiet i dzieci): w Norwegii 3,4 na głowę, we Francyi 3,7, w Anglii — 6, w Szwajcaryi — 7,5, w Niderlandach — 9,81, w Niemczech 10,4, w Szwecyi — 11,2, w Rosyi — 16, w Danii — 18 litrów.

Roztoczywszy wszystkie ciemne barwy, unoszące się nad poziomem moralnym społeczeństwa nowożytnego — Feliks nie zapomina i o jasnych. „Chociaż — powiada — obecny stan obyczajowy bynajmniej jeszcze wyższych wymagań zadowolić nie może i chociaż wiele jeszcze w tym względzie oczekiwać należy od następnych pokoleń, to jednak zaprzeczyć nie podobna, że w porównaniu z przeszłością wielki jest postęp, który znakomicie przyczynił się do rozwoju własności. Kto postępu tego uznać nie chce, ten z jednej strony nie dostrzega, że nigdy, jak w naszych czasach, walka o byt tak zacięcie nie była prowadzoną i nigdy tyle nie było pokus do popełnienia czynów niemoralnych, a z drugiej, że zakres wymogów etycznych nigdy również tak nie był rozległym.“ Starania około dobra klas niższych i dążenie do przyniesienia ulgi nieszczęśliwym, przebudzenie się sumienia publicznego, a w szczególności: powszechny przymus szkolny, kasy pomocy dla sierot i wdów, ogródki dziecinne i przytułki, tanie kuchnie, kasy oszczędności — oto zdobycze czasów nowszych na polu obyczajowem, zdobycze, które bezwarunkową zapewniają im wyższość tak nad starożytnością, jak i nad wiekami średnimi.

(D. n.).

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

K. Łepkowski. **Poezya polska na nagrobkach z XVI wieku.** Kraków, 1886.

Mała to, krytycznie nieoczyszczona, ani nieodniesiona do jakiejś ogólniejszej myśli wiązanka poetycznych nagrobków polskich, którą tu zebrał syn profesora archeologii, ale że okazuje ona w młodziutkim pisarzu pewien zmysł poetyczny, tak rzadki u naszych uczonych i nieuczonych literatów, postanowiłem więc zaznajomić z nią czytelników *Prawdy*. Mniejsza zresztą o autora, jednego z owych filaretów, mających podobno świat ruszyć z posad nowych na stare tory — sam przedmiot zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Nie ma pono trwalszych, wyrazistszych świadków przeszłości naszej od pozostałych marmurów i piaskowców, na których ręka ludzka pamięć zmarłych wyryła. Papier spali się, zniszczeje z czasem — pismo, którego czcionkami są kamienie, urąga wiekom. Jeżeli wyżółkła a nieczytelna karta doznaje dziś troskliwej opieki a umiejętny badacz z palimpsestów dowiaduje się o dziejach zamierzchłej przeszłości, to i tych kilka kart marmurowych może coś powiedzieć o dawnych czasach i ludziach. Zejdźmy tedy na chwilę do grobów, przypatrzmy się owym żałosnym skargom, które pozostali krewni, przyjaciele lub znajomi wywodzili nad trumnami ukochanych osób. Wszak żałość i smutek — to u nas pieśń najzwyklejsza.

Najstarszy napis nagrobka w języku polskim pochodzi z 1563 r. i znajduje się w kościele farnym w Czchowie na pomniku z czerwonego marmuru Kaspra Wielogłowskiego. Najpiękniejszy — Elżbiety Pisarskiej, jak dowodzi autor, pióra J. Kochanowskiego, wyryty na pomniku w kościele rudowskim (w Krakowskiem):

Helisabet Pisarska tu leży, kochanie
Dziatek swych, albo raczej płacz i narzekanie itd.

Wiersz znany wam zapewne z *Kłosów*, przypominający rzeczywiście styl autora *Trenów*.

Inne napisy wierszowane robią smutne wrażenie — z odmiennych względów. Ciągłe popisywanie się szlachectwem, pobożnością i podróżami, przedstawianie zmarłych w aureoli świętych, bohaterów albo „nieskazitelnych“ sprawia, że ci wszyscy nieboszczykowie i te nieboszczki mniej więcej do siebie podobne, jak rodzeństwo. Ciekawy jest nagrobek Jana Siemieńskiego, kasztelana halickiego, który tu przytaczam w wyjątku:

Nie dziwuj się, bracie miły,
Iż ja tu leżę w tym grobie,
Pewnieć także będzie tobie.
Widzę, bratku, stąpasz pyszno
Nie wiem, by-ć na dobre wyszło
Boć niedługo czekać tego,
Że też za mną wskoczysz w niego.

Wiersz nieszczególny, ale treść odbija od zwykłych tego rodzaju napisów, zwróconych obliczem w królestwo niebieskie... Z tej całej wędrówki po grobach rezultat bardzo skąpy. Najwięcej pisano po łacinie, resztę zniszczyły trzy stulecia, restauracye kościołów, a wreszcie pożogi i napady nieprzyjacielskie. W późniejszych czasach umieszczano po kościołach w miejsce nagrobków często chorągwie z wyszywanymi napisami, zatykano je nawet na grobie nieboszczyka. Z napisów pomnikowych XVIII w., o które z lekka tylko potrącono, przytaczam jeden bardzo piękny, z Kielc:

Łzami słońce powitać, łzą pożegnać życie,
Chwil kilka przepłakawszy na łonie swej matki,

Zniknąć, jak niknie zorza na niebios błękicie —
Takito był wasz udział na ziemi, me dziatki..

Napisy, z początku XVII wieku pochodzące, cechuje niczem niewytłomaczony dowcip, nieraz w rubaszność przechodzący. Oto w kościele Starotrockiego opactwa czytamy następujące słowa na nagrobku:

Miłosierny Boże zmiłuj się
Roku 1610 dnia 28 listopada.
Jan Groicki tu leżę pogrzebion.
Dlaczego? Nie wiem.
Ani też dbam o to, czy ty wiesz lub nie wiesz.

Jeżeliś zdrów, to dobrze!
Ja, żyjąc, miałem się dobrze i teraz także,
Jeżeli zaś nie, o tem ci nie powiem itp.

Słowem, dziwnie się jakoś wiążą w tych rymach pomnikowych: żal serdeczny, wesołość i przesadne chwalenie się. Snać podobało się to ludziom. Niejeden czytając rzewny, do głębi serca poruszający nagrobek, westchnął za duszę przedwcześnie zgasłych niemowląt, inny znów spojrzawszy na dowcipny wierszyk grobowy poległego rycerza, przypomniał sobie postać towarzysza broni, z którym niejedną może odbył potrzebę.

Co do geograficznego ugrupowania, to epigrafy z czasów odrodzenia znajdujemy w krakowsko-przemyskiej i poznańsko-płockiej okolicy. Jest ich kilkanaście tylko; później zwłaszcza, w epoce panegirycznej, namnożyło się tego bez liku — tak, że wywodzące sztuczne żale „na srogie Parki i miecz nielitościwej Belony“ epitaphia dorównywają może epithalamionem z Wenerami i Kupidynami, uzbrojonymi od stóp do głowy strzałami miłosnymi.

B.

PIOTR CHMIELOWSKI.

III.

Obok tego studyum nad oświatą, stają godnie monografie kobiet polskich, zebrane w książce: *Autorki polskie wieku XIX* (Warszawa, 1885). Stara się tu autor wykazać na życiorysach Hofmanowej, Jaraczewskiej, Felińskiej itd. trzy fazy, jakie u nas przechodziła kwestya niewieścia. Najprzód miała ona charakter pedagogiczny: chodziło o to, ażeby nauki, udzielane kobietom, doznały rozszerzenia i pogłębienia. Następnie przybrała odcień towarzyski i prawny: żądano większej swobody, jako dla panny, większej opieki społecznej, jako dla żony. Wreszcie nasunęła się z konieczności materyalnego położenia kraju potrzeba szerszego zakresu pracy, ażeby kobiety, nie oglądając się na pomoc ramienia męskiego, mogły same na utrzymanie swoje zarabiać. Kwestya tedy kobieca, łącząc w sobie dawniejsze cechy, przybrała kierunek ekonomiczny.

Z biografij tych, nakreślonych przez Chmielowskiego, odznacza się świetna charakterystyka Gabryeli (uzupełniona wstępem do przedruku pism Żmichowskiej u Glüksberga 1886). Jest to może najlepszy jego artykuł.

Z fejletonowych szkiców zebrało się prawie tomowe dziełko p. t.: *Kobiety Mickiewicza Słowackiego i Krasińskiego* (drugie wydanie 1884). Kiedy je pisał, zajmowano się u nas żywo emancypacyą kobiet. Mniej uwzględniając psychologiczno-estetyczną stronę, autor zadowolił się tu odtworzeniem samych postaci, jak je poeci przedstawili, z pewnym tylko naciskiem na stronę społeczną. Treść naszej kobiety sprowadza się do serca, ono jest jedynym motorem pobudzającym ją do życia umysłowo-moralnego, jedynym jej sądem i przymiotem. Chmielowski napomina, żeby poezya na tem nie poprzestała. Jako odbicie rzeczywistości, jako jeden z czynników życia społecznego powinna ona obrazować całkowitą działalność kobiety, wszystkich jej dążeń do zrównania się z mężczyzną.

Z rozbioru typów niewieścich naszych wieszczów przez Chmielowskiego wynika, że w tej dziedzinie mamy same prawie objawy patologiczne. Poezya zgodnie z naturą rzeczy malowała nam kobiety złamane nieszczęściem, łudzące się pozorami życia, kobiety samoistnej, dodatniej, samodzielnej nie było w życiu, a więc nie mogło być i w poezyi.

Pogląd na poezyę polską w XIX w. dopełniający sztukę i literaturę Carriera, nie jest udatny, gdyż szersze uogólnienia nie są główną siłą jego umysłu, zatopionemu w szczegółach. Również „Szkice“ z dziejów dramatu (w *Echu muz. i teatr.* 1883—4) są tylko zbiorem starożytności.

Największej wrzawy narobił: *Zarys literatury polskiej z lat ostatnich* (drugie wydanie 1886). Książka ta rozpada się na dwie części, kiedy wszakże pierwsza, zatytułowana: „Przekonania — dążności,“ zaznacza nieraz dość szczęśliwie ruch i nastrój społeczeństwa po roku 1864, druga: „Osoby i dzieła,“ jest za suchem, kronikarskiem, biograficzno-bibliograficznem zestawieniem. Chmielowski powiada na wstępie, że zarys jego ma cechę publicystyczną, t. j. uwzględniającą „te objawy, choć w gruncie rzeczy małoważne, i te osoby, choćby niezbyt utalentowane, które w opisywanym przezeń przeciągu czasu uwydatniły się czyli zwróciły na siebie oczy ogółu, co nie przeszkadza wcale, by potem o nich zapomniano. Jeśli tak jest, to metody takiej uznać nie podobna. Historyk, czy publicysta nie powinien rozpisywać się o osobach i wypadkach, o których wie naprzód, że „potem o nich zapomną,“ ale wybierać zjawiska, posiadające warunki trwałości. Trudno się także zgodzić na zasadę, że dział umiejętności ma być przez historyka mniej sumiennie i samodzielnie opracowanym, niż beletrystyczny. Chyba już należy odebrać beletrystyce przywilej do najzaszczytniejszego miejsca w literaturze. Trzeba jednak przyznać, że Chmielowski zdołał w *Zarysie* pochwycić znamienne właściwości fizyognomii moralnej z ostatniej doby rozwoju umysłowego i że żadne osobiste pobudki nie wpływały na jego przedstawienie zarówno całego ruchu, jak i poszczególnych osób. Myli się on jednak, zdaniem mojem, twierdząc, że walka „młodych“ z „starymi“ stoi dziś prawie na tem samem miejscu, co przed dwudziestu laty, że „zwycięstwo nie przechyliło się ani na jedną, ani na drugą stronę,“ bo zwycięstwo częściowe jest widoczne; myli się także, sądząc, że „z całej tej wrzawy polemicznej, jaka się toczyła (w czasopismach z 1872—3) nie było wielkiego pożytku dla społeczeństwa.“ Będąc sam uczestnikiem tego ruchu, zbyt go lekceważy i żąda od pionierów, ażeby w czasie walki zabierali się do pisania akademicznych studyów. Uderzają także w *Zarysie* omyłki co do stosunków galicyjskich. Chmielowski, nie widząc w Galicyi już po roku 1866 zwolenników zbrojnego powstania, twierdzi, że przekonania wyrażone w słynnym adresie: „Przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy,“ podzielała cała ówczesna inteligencya, co nie jest prawdziwem.

Tu i owdzie w ocenie osób i dzieł dostrzedz można zbytnią, konwencyonalną ogólnikowość, np.: Wł. Szanser (Ordon) „przez lat kilka cieszył się sławą poety,“ W. Zakrzewski „autor kilku cennych dzieł, opartych zwykle na nowych źródłach;“ Ochorowicz „przedmiotowi swemu oddaje się z zamiłowaniem;“ Biliński „zasłynął jako niepospolity ekonomista;“ Akademia umiejętności w Krakowie „rozwinęła także niepospolitą działalność,“ a zjazdy krakowskie „były jakoby wieńcami chwały i ubłogosławienia dla zasługi i pracy umysłowej.“ Ustęp o historyografii polskiej pobieżny, a w szczegółach nawet błędny (np. Papé nie umarł, Meinert nie należy do uczniów Liskego itp.)

Ostatnią i największą pracą Chmielowskiego jest dwutomowa monografia o Mickiewiczu (Warszawa, 1886). Brak dzieła obejmującego w całości życie i pisma naszego wielkiego geniusza dał się czuć dotkliwie. Lukę tę wypełnił Chmielowski, kładąc węgielny kamień pod historyę literatury polskiej XIX wieku. Zgromadził tu bogaty materyał, zebrał całą literaturę, dotyczącą Mickiewicza — z wyjątkiem nieznanej prawie emigracyjnej — przedstawił w najdrobniejszych (nieraz zbytecznych) szczegółach jego życie na tle epoki, odmalowanej pastelowym pędzlem z całym aparatem zewnętrznych faktów, rozwinął ze spokojem i przedmiotowością stopnie rozwoju poety, wykazał związek zachodzący między życiem jego a twórczością, odniósł pojedyncze fakty do zagadnień dziejowych lub cywilizacyjnych, obrobił wiele ustępów z biografii, mało albo zupełnie nieznanych, sprostował wiele błędów, nie poprzestając na pracach przygotowawczych z drugiej ręki, czerpał zawsze z pierwszych i najlepszych źródeł — zrobił wszystko, co było można zrobić w obecnych warunkach literatury Mickiewiczowskiej: a przecież pozostawił wiele wymagań niespełnionych. Główna przyczyna niedostatków spoczywa w sposobie przedstawienia, po prostu — w samej formie. Dzieło Chmielowskiego odznacza się jasnym układem, prostym, naturalnym i potoczystym językiem, ale opowiadaniu brak perspektywy, a stylowi werwy i ognia. Umysł analityczny Chmielowskiego zaginął w natłoku szczegółów, nie roztoczywszy szerszych widnokręgów. Książka jego nabrzmiała niepomiernie przez wciągnięcie faktów zewnętrznych, nienależących do rzeczy, zwłaszcza w pierwszej części. Bo w jakim związku z Mickiewiczem pozostaje np. opis uroczystości wyprawionej na cześć Niemcewicza i Kościuszki, pobytu Bogusławskiego w Wilnie, opis szubrawców i *Wiadomości brukowych*, kiedy do żadnej z tych instytucyj i uroczystości nie należał nigdy Mickiewicz? Po co wyliczać imiona nauczycieli poety, kiedy nic o nich, ani o ich wpływie na niego nie wiemy i podobno wiedzieć nigdy nie będziemy? Po co przytaczać najsprzeczniejsze, albo nic nie mówiące cenzury szkolne? Autor posunął drobiazgowość aż do opisu podłogi mieszkania Goethego i wyszczególnienia drzemiących towarzyszów w podróży.

(D. n.).

Literatura czeska.

II.

(Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego).

Zeszyt lutowy *Athenaeum* czeskiego przyniósł rzecz przez nikogo nie oczekiwaną: dwóch profesorów wszechnicy czeskiej domaga się wznowienia oględzin rękopisów, uważanych powszechnie za niewątpliwie autentyczne i czczonych jako świętość narodowa.

P. Masaryk ogłasza list do p. Gebauera, treści w skróceniu następnej. Po przeczytaniu artykułu waszego w *Encyklopedyi* Erscha i Grubera, uważam iż nie powinniśmy pozostawać nadal w biernej polityce naszej względem rękopisów. Zasmuca mię to, że sprawa, poszedłszy przed forum wielkiej publiczności, rozbudzi namiętności, i one, zamiast rozumu, przemawiać zaczną. Ale przekonany jestem, że obecny stan jej nie zgadza się ani z honorem na-

szym, ani z prawdą; że i w domu, i za granicą milczeniem sobie szkodzimy. Pod płaszczykiem patryotyzmu, często grube nieuctwo gardłuje za prawdziwością rękopisów, ogłaszając za zdrajców tych, którzy o niej wątpią. A jednak wątpliwości te są tajemnicą powszechnie znaną.

Powiadają: któżby mógł napisać owe pieśni, jeżeli się je ma poczytywać za sfałszowane? Przecież za czasu pojawienia się ich nie było żadnego zdolnego poety. Ale czy to prawda? Któż z nas zna dokładnie epokę z roku około 1820? Na to sumienni ludzie odpowiadają: nikt!

Mówiłem o tem z bardzo wielu osobami i postanowiłem oświadczyć nareszcie, że, wraz z wielu a wielu innemi, *mocno powątpiewamy o autentyczności rękopisów.*

Aby rzecz wyjaśnić, potrzeba naprzód wyświetlić okoliczności, wśród których rękopisy na świat się pojawiły, a powtóre zbadać je same. Zbadanie to winno być wszechstronnem. Najmniej stanowczymi mogą być wnioski estetyczne i dziejowe, więcej paleograficzne i chemiczne, a najwięcej gramatyczne.

Dalej p. Masaryk szczegółowo opisuje wyżej wymienione drogi badania i wyraża własne zdanie o ustroju i duchu mowy tych zabytków. Ton ich wydaje mu się zupełnie nowożytnym, zgoła nie podobnym do sposobu mówienia takiego np. Sztitnego, Chelczyckiego i innych.

Każdy człowiek rozumny ubolewać będzie nad rozczarowaniem, które nas, jak sądzę, oczekuje; ale jest w narodzie naszym niemało ludzi, którzy posiadają dość siły nerwowej na zniesienie najgorszych wieści. Śmiać się z nas będą cudzoziemcy? Niestety! Ale spodziewajmy się, że tylko nierozsądni, krytyki nieznający, tak właśnie jak i u nas sprawy tej bronią. Nie pojmuję, jak ktoś może twierdzić, że honor narodu wymaga obrony rękopisów! Honor narodu wymaga obrony i poznania prawdy, niczego więcej, a wyższem jest męstwo przyznania się do pomyłki, niż bronienie jej, choćby cały naród jej ulegał. Prawda, wrogowie nasi cieszyliby się z tego; ale cóż stąd? Wszakże nie potrzebujemy sobie „hańby“ wystawiać tak wielką; znajdzie się dosyć ludzi za granicą, którzy uznają i ocenią odwagę naszą, gdy sami odróżnimy fałsz od prawdy. Nie my jedni fałszowaliśmy. Tak np. papieże długo się powoływali na dekretalia Izydora i niema wątpienia, że kościół średniowieczny falsyfikatami temi stanowisko swe umocnił; ale umocniłby takowe i bez nich. Tak samo rzecz się ma i u nas: jeżeli rękopisy są podrobione a zarazem mają wartość artystyczną, to nie przestaną być one dowodem siły naszej twórczej i zabytkiem dziejowym, choć późniejszym.

Proszę tedy: raczcie napisać coś o języku rękopisów, o ich zboczeniach językowych od reszty zabytków. Czyżby gramatyka nie zdołała sporu ostatecznie rozstrzygnąć? Obyż!

Na ten list prof. Masaryka, pan Gebauer zaraz odpowiedział; odpowiedź jego zamieszczono w tymże zeszycie *Athenaeum.*

Oto główne jej punkty.

Rękopis królowodworski ogłosił Hanka. Ciąży na nim podejrzenie, że podrabiał rękopisy staroczeskie i wydawał je za prawdziwe. Niemal nikt dziś nie wątpi, że sfałszował sam, albo że należał do sfałszowania „Pieśni Wyszehradzkiej“ (1816), „Pieśni miłośnej króla Wacława“ (1819) i innych. Przeto względem rękopisów, wydobytych na świat przez osoby podejrzane, trzeba się mieć na baczności, tak jak się wystrzegamy przyjmowania banknotów od ludzi podejrzywanych o ich podrabianie. Ostrożność nakazuje nie odrzucać wprost asygnat i rękopisów, wychodzących z rąk niepewnych, ale, nim przyjmiemy za prawdziwe, trzeba wprzód dobrze zbadać.

Ani świadectwa osób współczesnych, choćby najgodniejsze wiary, ani treść rękopisów, chociażby najpiękniejszą i dla uczuć najdroższą, nie powinny stać na zawadzie do krytycznego ich zbadania.

W rękopisach królowodworskim i zielonogórskim są jawne zboczenia od powszechnego, że tak powiem — normalnego języka staroczeskiego; dopóki zatem badanie paleograficzne i chemiczne nie stwierdzi starożytności manuskryptów, zboczenia te uważać możemy i musimy za dowód późniejszego pochodzenia utworów, w tych znajdujących się rękopisach.

Roku 1817 Hanka napisał wstęp gramatyczny do ogłaszanych przez siebie „Wierszy starodawnych“ (Starobyla skládaní); takimże wzbogacił i zeszyt następny z r. 1818. Otóż jest rzeczą godną uwagi, że się mylił w niektórych kwestyach gramatycznych; pomyłki te pochodziły z niedostatecznej ilości znanych i ogłoszonych naówczas zabytków starej czeszczyzny, a także z niedokładności lingwistyki ówczesnej wogóle.

Roku 1817, we wrześniu, Hanka ogłosił „Rękopis królowodworski.“ W tekście jego jest reminiscencya z czeskiego przekładu podróży Marka Pola, jak tego dowiódł Gebauer w „Listach filologickich“ (toż w *Archiwum* Jagicza, II, od 143), niewątpliwie przeto treść jego ułożona lub spisana została nie wcześniej, jak po roku około 1320.

Język staroczeski z początku w. XIV znany jest dobrze z bardzo licznych zabytków tej doby. Porównanie więc mowy rękopisu królowodworskiego z językiem ówczesnym dokonane być może na szerokiej podstawie faktów. Porównaniem tem zajął się prof. Gebauer i doszedł do przekonania, że w rękopisie nas obchodzącym znajduje się bardzo wiele niezgodności językowych z niewątpliwymi zabytkami wieku XIV. W liście swoim wymienia ich znaczną ilość. Ograniczam się tu podaniem kilku najwybitniejszych, dodając uwagi o zgodności tych zboczeń z wymienionymi wyżej falsyfikatami, ze wstawkami, zaimprowizowanemi przez Hankę, i z pomyłkami Hanki we wstępach gramatycznych, o którycheśmy wyżej wspomnieli, co wszystko jest okolicznością obciążającą w podejrzeniach.

Tak np. w rękopisie królow. znajdujemy formy *sedie* (siedzi), *mutie* (mąci) itd., niezgodne z zwykłemi końcówkami starej czeszczyzny: *sedí, mutí* itp., takież formy na *e* ma podrobiona pieśń wyszehradzka, a we wstępie gramatycznym również, jako przykład, czytamy *hledie* (patrzy), zamiast zwykłego *hledí*. Tak samo rzecz się ma z zaimkiem *sien*, w znaczeniu tamten, ów (skąd np. polskie do *siego* roku); w rękopisie jest forma tylko *sien*; w starszej czeszczyźnie spotyka się tylko *sen*; Hanka w przedmowie zna także tylko *sien*. Podobnych przykładów przytacza Gebauer kilkanaście: wszędzie formy rękopisu zgadzają się z teoryą Hanki, różniąc się zarazem od mnóstwa zabytków niewątpliwych.

Dalej cytuje takie wypadki, w których przypuszczenie, że ktoś podrobił rękopisy, stwierdza się tem, iż używał jakiejś formy, której dobrze nie rozumiał; tak np. we frazesie „nadzieja odstąpiła chrześciany“ autor rękopisu prawdopodobnie źle zrozumiał wyrażenie innego, niepodejrzanego zabytku: odstąpiły *jego*, wziąwszy *jego* za przypadek czwarty, zamiast za drugi, jak jest stale w dawnej czeszczyźnie; powinnoby być: nadzieja odstąpiła *chrześcian*. I takich przykładów Gebauer przytacza kilkanaście. Poczem zdanie swoje formułuje następnie:

Zgodność licznych zboczeń obu rękopisów ze zboczeniami niewątpliwych falsyfikatów i z mylnemi pojęciami Hanki o gramatyce staroczeskiej, wygłoszonemi przed wydaniem rękopisów, jest nader ważnym powodem do wątpienia o autentyczności w mowie będących zabytków.

Dlatego też żąda pan G., aby na nowo je zbadano drogą próby chemicznej i paleograficznej. Obecny bowiem stan rzeczy, powiada, jest nieznośny, a nie da się usunąć ani zwrotami krasomówczymi, ani niedouczoną gawędą, ani pomawianiem o herezyę, ani groźbami; tylko gruntowne zbadanie rzeczy skutecznem tu być może.

Jan Karłowicz.

KRONIKA FILOZOFICZNA.

Wykszałcony ogół nasz, lubi jak piecuch, chować się pod pierzyną starych, ciepłych pojęć o świecie, życiu, pięknie, dobru, umyśle i tem wszystkiem, co zachwiało już genialny mózg greka i jako niewyczerpana po nim spuścizna dziś jeszcze karmi badawczego ducha ludzkości. Niech naokół wre burza i ścierają się w atmosferze zagadek ludzkich najgwałtowniejsze prądy, my drzemiemy spokojnie i bezpiecznie, albo raczej śpimy snem hypnotycznym i lada kartofel filozofii bierzemy za woniejący i soczysty ananas. Nie zaszkodzi więc od czasu do czasu otwierać okno i wpuszczać trochę świeżego powietrza z szerokich pól europejskiej myśli.

Zostawiamy sobie zupełną swobodę w wyborze źródeł, z których czerpać będziemy. Wyglądają one bowiem rozmaicie, już to jako ciężkie tomy erudycyi niemieckiej, już jak lekkie i w czytaniu ponętne prace francuskie, już jako rozprawy, które zasilają i zapełniają mnóstwo czasopism filozoficznych i podnoszą najżywotniejsze sprawy, już wreszcie jako dzieła literatury nadobnej, która w wieku naszym, bardziej niż kiedyindziej, współzawodniczy z filozofią w rozbrzmiewaniu tematów ogólnoludzkich a pewne działy jej przywłaszczyła sobie i mędrszem o nich odzywa się słowem, niż sami mistrze trzeźwej logiki. To, o czem prawił szlachetny Marek Aureliusz, że zbrodniarz za winy swe niesłusznie ponosi karę, bo sam jest ofiarą chorobliwej swej natury — natchnęło Wiktora Hugo wspaniałą obroną potępionych *Nędzników*. Ocena wartości życia i wszechbytu szczerszą i słuszniejszą jest w „Kainie“ Byrona lub strofach Leopardiego, niż w komicznych sofizmatach Hartmana; Turgeniew w przedśmiertnych swych „poezyach prozą“ głębiej wejrzał w istotę dobra, estetycznej pogody, znikomości rzeczy ludzkich, niż genialny Schopenhauer, któremu włosy jeżyły się na głowie, gdy słyszał szelest w sąsiednim pokoju lub lekkie kurczenie w własnym żołądku. Myśl filozoficzna przywdziewa najrozmaitsze kształty, od bajki o Buridanowym ośle, któremu „w żłobie dano owies a w drugim siano,“ napisanej w celu wyśmiania determinizmu, jeszcze w wiekach średnich, aż do patetycznego dramatu, jak *Kapłan z Nemi* Ernesta Renana.

Ale do rzeczy.

Dziwnem się może wydać, że we Francyi coraz więcej budzi się reakcya przeciw kultowi rzeczywistości w filozofii. Dotąd panowała tam wszechwładnie ta część systematu Comte'a, która badała prawa rządzące zjawiskami, dostępnemi dla zmysłów. Była ona nicią przewodnią zarówno tych, co się za uczniów jego skromnie podawali, jak i innych, którzy maleńką poprawkę lub uzupełnienie pozytywizmu ogłaszali jako nowe, własne odkrycie. Dziś, gdy studya nad Kantem stały się punktem wyjścia dla każdego myśliciela, zmartwychwstaje ten żywioł Comte'yzmu, który zarzucił ongi zasłonę na „rzecz samą w sobie,“ jako niedocieczoną, i każe rozpoczynać od pytania: czy godzi się filozofowi wierzyć naiwnie w to, co istnieje i wprost,

nie przeszedłszy przez ten wysoki próg, badać wszechświat. Coraz częściej odzywają się głosy przeczące i „rzecz sama w sobie" odzyskuje swe prawa. Ale francuz jest przedewszystkiem dogmatykiem. Nie umie on być dyskretnym i poprzestawać na zagadnieniu, czy i o ile byt bezwzględny można poznać — więc na nowo tworzy teorye metafizyczne.

Okazem zresztą dosyć wybitnym tego kierunku są prace dwu myślicieli Dunau'a i znanego naszemu piśmiennictwu Vacherot'a.

Dunau posiada umysł bystry i głęboki. *). Nie chętnie polega on na dowodach, podawanych przez mnóstwo szkół, że to, co widzimy, słyszymy, czujemy itd., rzeczywiście istnieje. Żąda on, ażeby byt ten ostawał się wobec analizy umysłu i był dokładnie określonym. Te zaś dwa rodzaje realizmu, na które rozpada się dzisiejsza filozofia, żadnemu z owych wymagań nie czynią zadosyć.

Jedni — do tych należy kierunek angielski ze Spencerem — i francuski z P. Janetem na czele twierdzą, że otaczające nas przedmioty muszą istnieć, skoro napotykamy z ich strony opór i ciśnienie. Dlaczego nie powołują się raczej na wzrok, powonienie, smak lub słuch—niewiadomo. Dunau nie bez słuszności mówi, że to uprzedzenie dla uczucia oporu nie jest niczem innem, jak udoskonalonym wyrazem prostaczej logiki, która lubi się przekonywać o istnieniu czegoś przez dotknięcie — jest to przesadzona wiara w „namacalność." Zresztą psychologia wykazuje wiele wypadków, w których zmysł dotyku również w błąd nas wprowadza, jak oko lub ucho, np. znane wszystkim kręcenie kulki na płaszczyznie palcem serdecznym podłożonym pod środkowy. Dla teoryi poznania czucie jest takim samym psotnikiem, jak inne zmysły — tylko podmiotowym przebiegiem, który za rzeczywistość przedmiotu ręczyć nie może. Skąd wiemy, że nie obracamy się wszyscy zgodnie w zaklętem kole halucynacyi, możemy zapewniać się wzajemnie, że duch nasz istnieje, lecz niemamy prawa głosić, że jakaś materya istnieje.

Materya ta przedstawia się w różnych postaciach, niezliczonych zjawiskach, kształtach, barwach, rozmiarach etc. Nie ma już takich cech, takich przymiotów jej, którychby rozum nie ogołocił z pozorów podmiotowego istnienia i nie obwołał za zbiór subjektywnych wrażeń i pojęć. Kolor lub zapach przestał być czemś realnem dla każdego, kto bada kompetencyę naszej wiedzy. Jeśli weźmiemy jakiś, choćby najbardziej złożony proces fizyczny lub chemiczny—np. wznoszenie się balonem w górę— i sprowadzimy go do przyczyn, co go wywołały a potem te ostatnie do wcześniejszych jeszcze i tak dalej aż do przyczyny ostatecznej, do krańców przyczynowości—zawsze otrzymywać będziemy odpowiedzi podmiotowe a realnego, niezależnego od naszej myśli i przez nią niespłodzonego nie zostanie nic. Wodór, jedwab, parcie powietrza, prawa Archimedesa — wszystko to są kategorye umysłu.

Z mnóstwa tym podobnych przykładów Dunau wyciąga wniosek, że tylko umysł, duch ma byt rzeczywisty, a reszta jest urojeniem, które zupełnie jednakowo układa się w wyobraźni ludzi i przez to wywołuje złudzenie prawdy. To tylko harmonia marzeń — nic więcej.

Dlaczego nie doszedł on do przekonania Kanta, który ma znamionować drugi rodzaj realistów, tylko dlatego, że zgadza się na „rzecz samą w sobie," trudno zrozumieć; dlaczego nie uznaje, że wobec podmiotowości wrażeń i całej naszej treści duchowej rzecz sama w sobie jest niedocieczoną, lecz *może* pomimo to istnieć — w tem sęk, o który rozbija się krucha budowa Dunau'a; dlaczego w rozbiorze jego sam umysł nie ulotnił się tak samo, jak materya i co daje rękojmię, że duch nie jest takąż marą, przywidzeniem zgodnie nas nawiedzającem, jak reszta wszechświata — to także niepojęte. Oto dwa czynniki, które miał do wyboru Dunau, chcąc być konsekwentnym. Ale dał on się oślepić dogmatyzmowi i dlatego pozostał znacznie w tyle za metafizyką dzisiejszą, która u Langego, Ueberwega, Vaihingera i wielu nowszych komentatorów królewieckiego mędrca, z żelazną krocząc konsekwencyą, doszła do powszechnego iluzyonizmu i metafizykę ustąpiła... poezyi.

Dunau nie chce uchodzić za oryginalnego, przeciwnie dowodzi, że najwięksi starożytni i nowsi myśliciele byli takimi, jak on, idealistami. A więc Platon, Arystoteles, nawet Descartes, gdyż ten wmawiał sobie tylko dualizm, Spinoza, nawet Kant, u niego bowiem wiara w jakąś „rzecz samą w sobie" jest ni przypiętą ni przyłataną i może być wyrugowaną, wreszcie Leibnitz i przedewszystkiem Leibnitz; jemu Dunau gwałtem narzuca swój sposób myślenia; energicznie napadając na komentatorów, którzy dopatrują się w monadach realnych bytów, a nie czczych idej. Pomimo to autor jest filozofem dosyć głębokim i bardzo oczytanym.

O wiele niżej, jako systemat, stoi pogląd Vacherota, wyłożony, albo raczej powtórzony i dopełniony w świeżem dziele: *Le nouveau spiritualisme.* Stary ten weteran filozofii, pomimo swego naciągania pojednawczego kierunku, cieszy się szacunkiem wielkim i chętnie jest słuchany, dzięki sile i szczerości, z jaką nauk swych broni. I u niego z ducha wyłania się świat cały, lecz nie jako państwo oderwanych pojęć, ale jako realny kosmos.

Vacherot lubi się osłaniać powagą ścisłości i wysoko podnosi sztandar empiryzmu, indukcyi i wszelkich metod dzisiejszego badania. Ale rychło okazuje się to jowialną grą słów. Polem bowiem jego jest metafizyka, a doświadczeniem „doświadczenie wewnętrzne, intuicya ducha, która jest najwierniejszym „mikroskopem." Przy ich pomocy sięgnąć można do źródła wszechrzeczy. Na takiej *zmianie* nazw dotychczasowych, w niczem nie krępującej zresztą dotychczasowej samowoli w metafizyce — polegać ma, zdaniem Vacherota, reforma spirytualizmu.

Na podobnej podstawie zbudowany gmach, to rozumie się dom z kart. Najbardziej wątłą jest teorya bóstwa — stosunkowo najmniej kruchem, choć i najmniej świeżem objaśnienie materyi; ma ona być w istocie swej siłą, tak jak przestrzeń znowu — wzajemnym stosunkiem ruchów. Cała potęga ducha występuje najjaskrawiej w duszy ludzkiej, która, być może, że się składa z pojedynczych stanów świadomości, z mnóstwa pierwiastków psychicznych, ale siłą wyższą, siłą jakiejś po nad niemi stojącej jaźni, zbiega się w jednem, samoistnem ognisku.

Wizerunek bóstwa, jakiemu Vacherot powierza rządy nad wszechświatem, składa się z chaosu sprzeczności. Myśliciel ten nie jest na tyle naiwnym, by ideę twórczą ująć w formy człowiecze, owszem gwałtownie przeciw antropomorfizmowi powstaje — ale też zbiennie oddziela ją od wszechbytu. Boga nie należy zlewać z jego królestwem — wolą — albowiem panteizm równa się ateizmowi. Bóg jest przyczyną wszystkiego, jest wiecznie czynnym i płodnym, ale pomimo to... nie istnieje po za obrębem świata! Słowem, natura bóstwa składa się z pewnej liczby właściwości, których jedna połowa utrzymuje bliższy związek z jego dziełem, druga zaznacza wyższość i odrębność, daremnie usiłując ulokować się w rozumie naszym. Zbyteczna dodawać, że Vacherot zostawia nietkniętemi atrybucye, w jakie filozofia religijna wyposaża „absolut."

Bądź co bądź, w myślach sędziwego filozofa nastąpił znaczny przewrót, korząc się przed krytycznem hasłem wieku, dba przynajmniej o pozory naukowości w metafizycznych swych pomysłach i w wielu miejscach skłania się do wiary w rozwój.

Dziwnie obok dwu pomienionych dzieł wygląda dziwoląg mody panującej dziś w Europie, jeden z najniesmaczniejszych tworów paryskiego zwyrodnienia. Znany powieściopisarz i pamflecista Edward Thiaudère w książce p. t.: *Zdobycz nicości**) pozuje na zgorżkniałego i rozprawia w sposób pospolity o wszystkiem. A więc o wierze, umyśle, prawdzie, szczęściu, sztuce, wiedzy, polityce itd. — rozumie się z punktu widzenia rozczarowania udanego i naciąganego, jak cynizm młokosa, który puszcza się z pierwszym groszem w wir półświatka. Porównywa on kosmos do zwierzęcia wiecznego i nieskończonego, moralność nazywa zbiorem obyczajów, mających swoje dobre strony. Co zaś do reszty treści, to określa jej wartość znany frazes: albo są znośne lecz utarte i stare, albo nowe i nędzne. Całość poświęconą została... dwum psom autora: Lei i Mojżeszowi, z afektacyą rozciągniętą aż na cztery stronnice. Zasmakował on widocznie w laurach Bourgeta, ale ma za małą głowę na jego wieńce. Pośród głosów innych filozofów rozpaczy, deklamacya Thiaudère'a brzmi jak płocha i pusta gadanina hrabiego d'Erfeuil obok głębokich spostrzeżeń Korynny i Oswalda — chociaż owi „inni" także do apostołów logiki nie należą — czego dowodem Hartmann.

W literaturze francuskiej wszelki, nawet tak błahy objaw, jak debiut, o którym mowa, jest charakterystycznym, stwierdza bowiem dawną prawdę, że w tem ruchliwem mrowisku wątpić i męczyć się zagadką życia umieją nie wcześniej, aż gdy schną im zaczyna mlecz pacierzowy.

N. H.

*) *Les theories methaphysiques. Revue philosophique.*

*) *La proie du Neant. Notes d'un pessimiste.* Paris.

POEZYA.

DUMKA.

Gdym w zaraniu mego życia
Na świat pierwsze stawiał kroki —
W mgle różanej złud i śnicia
Stał przedemną szczyt wysoki.
Jam wstępował ufny, śmiały
Na ten stromy tor i śliski,
Wzrok utkwiwszy w szczyt, gdzie drgały
Zachodzące słońca błyski.
Pełen wiary — jam w zapale
Wołał: „witaj ideale!"

I zdyszany — ręce drżące
Wyciągałem doń w zachwycie...
W tem w pół drogi zgasło słońce
I zaległa noc na szczycie;
Na bezdrożu dziś — w dal ciemną
Poomacku stąpać muszę;
Przepaść za mną, noc nademną,
A sęp trwogi targa duszę.
W sercu rozpacz, w sercu żale,
Gdzieżeś, gdzieżeś ideale?

Próżno wołam! — moje krzyki
Bez odgłosu w mrokach giną,
Tylko sowy i puszczyki
Odkrzykują mi drużyną;
Tylko stado nietoperzy,
Z cichym skrzydeł swych łopotem,
Przelatując — mnie uderzy
W skroń oblaną zimnym potem;

W rozpaczliwym grozy szale
Wołam: „gdzieżeś ideale?“

Oto widzę wpośród ciemni
Czerwonawe, mdłe płomyki:
To tłum kroczy, jak podziemni
Z latarniami galerniki;
Każdy podniósł w górę rękę,
I sobkowskie głoszą hasła,
Niesie swoją latarenkę,
Drżąc z obawy by nie zgasła,
Lecz nie widzi, że brnie w kale.....
Gdzieżeś, gdzieżeś ideale?

W sercu goryez, w myślach sprzeczność —
Wątpliwości bój w nich wiodą:
Czy ci ludzie — ta społeczność
Społeczeństwem jest, czy — trzodą?
Sprawiedliwość, prawda, miłość
To głupoty dziś synonim...
Gdzież nas wiedzie dróg zawiłość?
Dokąd zajdziem? za czem gonim,
Wstępując w tropy szakale?...
Gdzieżeś, gdzieżeś ideale?

Duszno... parno... pomruk gromu
Głucho warczy w czarnej chmurze...
Straszną jest chwila przełomu
W społeczeństwie, czy w naturze;
Strasznem jest wyczekiwanie
W tym zaduchu i upale,
Jaki-też nam świt nastanie?
Skąd nam zejdziesz, ideale?
Pragnę ujrzeć lice twoje,
Czekam ciebie... lecz się boję...

Jutrznia twoja w chmurze drzemie,
Zapowiedzią twą — grom głuchy;
Lecz kto jesteś? jak twe imię?
Złe czy dobre z tobą duchy??
Ale przyjdź już!... niech dzień świta!
W jakiejkolwiek będziesz szacie,
Pozna cię paryas — banita,
Bo z twych ust posłyszy: *bracie!*...

. . . .

Włodzimierz Wysocki.

SZTURM MELETUSÓW.

Zdaje się, że gorączka, wywołana procesem naszym z p. Zapolską, wysypała na poślednią część prasy warszawskiej wszystkie zaraźliwe krosty, zdaje się, że już wszyscy Meletusi złożyli przeciw nam swoje akty oskarżenia do sądu „opinii publicznej,“ zdaje się, że nawet Konrady skandalu wystrzelili z piersi swoje improwizacye boleści i gniewu. Teraz więc możemy pomówić o całym tym wybuchu błotnistej lawy.

W ostatnim szturmie podsadzili się pod *Prawdę*, a właściwie pod jej redaktora dwa najkrzykliwsze karły, które kiedyś kształciły się w naszem piśmie a obecnie chcą je wyważyć, sztukując swą maleńką siłę zuchwałością i obelgami. Gdybyśmy bez objaśnień wymienili dwa nazwiska: pana Wścieklicy i p. Straszewicza, niezanumerowane dotąd w najszczegółowszej bibliografii, czytelnicy nasi, którzy je rzadko i przelotnie spotykali pod krótkiemi sprawozdaniami, mogliby sądzić, że to dwa świeże mucharki, wyrosłe po deszczu z małej chmury dziennikarsko-sądowego zatargu. Musimy więc rozprawę z tą bohaterską dwójką poprzedzić krótką biograficzną rekomendacyą.

Nr. 1. Przed kilku laty wychowaniec tutejszej Szkoły handlowej, p. Wścieklica, nadesłał nam z Paryża ostrą krytykę artykułu p. Finkelhausa p.t. „Projekt banku państwowego dla ubezpieczenia rozchodów,“ w którym zarzucał autorowi *przeróbkę* cudzej myśli. Jakkolwiek p. Finkelhaus był naszym współpracownikiem, daliśmy jego przeciwnikowi głos, którego od nas żądał w imię godła: „amicus Plato sed magis amica veritas;“ gdy jednakże na obronę p. F. odpowiedział przygryzkami osobistymi, zamknęliśmy dla nich *Prawdę*, uchyliwszy ją tylko dla argumentów rzeczowych. Oprócz tego pojedynku polemicznego, p. W. stoczył jeszcze dwa: z polskimi wyznawcami teoryi Marxa i p. Jeleńskim. W przerwach między temi utarczkami dostarczył kilku redakcyom a między innemi i naszej wiązkę artykułów sprawozdawczych i krytycznych. Oto jest cały tornister literacki tego rycerza, który redaktorowi *Prawdy* napisał, poświadczoną przez p. Lewentala, dymisyę z kapitaństwa w) „partyi“ postępowej. Rozpatrzywszy się w tym tłomoczku, widzimy robotnika małych uzdolnień, który pod umiejętnem kierownictwem może być jednako pożyteczny w każdym warsztacie dziennikarskim, ale dla żadnego nie stanowi siły ważnej — robotnika, któremu krew najbardziej się ogrzewała nie w walkach za jakąś ideę, ale w potyczkach osobistych — w pamfletach.

Ponieważ każdy organ tego kierunku, co *Prawda*, musi posługiwać się pracą ludzi młodych i dbać o ich rozwój, ponieważ udało nam się wprowadzić do literatury grono umysłów świeżych i obiecujących, przeto nie odmawialiśmy p. Wścieklicy ani gościnności, ani pomocy w jego wystąpach i pierwszych niedołężnych krokach autorskiego zawodu. Dzięki tej samej życzliwości znalazł się w naszem piśmie:

Nr. 2, p. L. Straszewicz, b. student uniwersytetu gienewskiego. Naprzód pisywał on korespondencye, wymagające bardzo uciążliwej korekty, potem puścił się na określenie „społecznych kierunków w teoryi i życiu“ — rozprawę mętną, niedojrzałą, którą z zastrzeżeniami wydrukowaliśmy częściowo, nie chcąc tamować rozwoju umysłu pączkującego, wreszcie zamieściliśmy jego udatną powiastkę (w *Ognisku*). Gdy przybył do kraju, daliśmy mu pracę, której potrzebował; gdy jednakże po dwu miesiącach zakwestyonował warunki naszej umowy, dogodziwszy wszelkim jego pretensyom, pożegnaliśmy go ostatecznie. Od października 1884 r. p. Straszewicz współpracownikiem *Prawdy* nie jest i pomimo usiłowań nawiązania stosunku być już nie mógł. W ciągu tego czasu zbogacił literaturę kilkoma artykułami w innych pismach a jej etykę uczestniczeniem w przygotowaniu miny, dla której lontu dostarczyła sprawa p. Zapolskiej. Oto znowu rachunek zasług drugiego liliputa, który wdziawszy hełm, nakrywający go całego, woła do redaktora *Prawdy*: „ote-toi que je m'y mette“ — na czele postępu.

Powyższe bijografie nietylko są jedynemi zsumowaniami działalności autorskiej dwu noworodków naszego liberalizmu, ale wyczerpują całą jej wagę, która dała tym „strasznym dzieciom“ prawo do przemawiania w imieniu „partyi.“ Ale skoro wszyscy jesteśmy równi wobec trybunału krytyki, skoro każdy pozew trzeba odeprzeć obroną, więc, wzdrygnąwszy się, rozpatrzmy te dwie skargi. Mienią się one wszystkiemi barwami tęczy paszkwilu — od kłamstwa do zniewag i półsłówek dla odrwionej pozorami — domyślności czytelnika.

Przedewszystkiem szkoda, że nie oświetlimy tu dostatecznie jednego bardzo znamiennego i starannie przez „oburzonych“ wyzyskiwanego punktu, w którym tkwi zagadka: czemu krytyk utworów p. Zapolskiej nie mógł zaraz odpowiedzieć na jej protest a uczyniwszy to po dwu miesiącach nie posiadał swych notat i musiał zawierzyć jedynie pamięci; oraz czemu redaktor nie mógł się z nim wcześniej porozumieć? Poprzestajemy na zaznaczeniu, że to było niemożliwością i że o niej obrońcy autorki doskonale wiedzieli. Jest to punkt sromotniejszy, niż się z pozoru wydaje. Przypuśćmy, że p. Wścieklica po przysłaniu nam artykułu przeciwko p. Finkelhausowi zostaje przez pomyłkę w Paryżu aresztowany i pozbawiony książek oraz rękopisów; p. Finkelhaus zaś żąda, ażeby jego krytyk złożył dowody, usprawiedliwiające zarzut przeróbki w *Bluszczu*, skąd będą posłane do rozpoznania Ujejskiemu. Naturalnie, odpowiedzielibyśmy, że ta kręta procedura jest dziwną, że p. Wścieklica odzyskawszy swobodę, złoży wyjaśnienie przedmiotowe. P. Finkelhaus nie zadawalnia się tem, lecz wnosi skargę do sądu na... redaktora *Prawdy*. Ale wychodzi z aresztu p. Wścieklica i uzasadnia swoje zarzuty z pamięci w piśmie, przed sądem zaś przyjmuje na siebie odpowiedzialność. Co robi p. Finkelhaus? Staje do sporu i przed czytelnikami *Prawdy* wykazuje niesłuszność oskarżenia? Nie, chwyta p. Wścieklicę, ale nie puszcza i p. Świętochowskiego, który do rozgłosu awantury jest niezbędnym, i wlecze obu do sądu państwowego. Przegrawszy sprawę, zbiera swoich przyjaciół i rozpoczyna karczemną burdę z redaktorem, kopiąc równocześnie recenzenta. Na szczęście p. Wścieklica nie był aresztowanym — a p. Finkelhaus bronił się piórem.

Od pierwszego numeru *Prawda* posiada osobną rubrykę, w której mają swobodny głos autorowie z krytyk naszych niezadowoleni. Czy tego głosu zażądała od nas p. Zapolska? Nie — bo dla jej pokątnych doradców taka „satysfakcya“ była niedostateczną. Im szło o skandal, o skandal za wszelką cenę. Do ogona tego skandalu zaczęły się przyczepiać różne drobne istoty, usiłujące z nim wydostać się na wierzch, na który własnemi płetwami i w godziwszy sposób wypłynąć nie mogły. P. Wścieklica utrzymuje, że dopiero sprawa p. Zapolskiej z redaktorem *Prawdy* go „poróżniła.“ Jak wszakże ta boleść nad „krzywdą“ wykluwała się w nim powoli, dość powiedzieć, że artykuł p. Popławskiego wydrukowany był 29 sierpnia, jego wyjaśnienie 14 listopada, a p. Wścieklica zawiadomił nas listownie o swem oburzeniu dopiero 8 grudnia. Przed tą ostatnią datą niczem nie zdradził przy spotkaniach osobistych ukrytego cierpienia, nie żądał wcale głosu w tej sprawie—tak dalece, że przyjmując od niego niezużytkowane notatki do „katalogu dla samouków,“ ani przypuszczaliśmy, iż daje nam je człowiek „rozczarowany,“ który już przestał mnie „nieledwie czcić.“ Nie dość tego, postanowiwszy w grudniu „skruszyć kopię,“ spełnił swój ślub dopiero w kwietniu— po uniewinniającym nas wyroku. Jeżeli tedy fałszem jest, że p. Zapolska „nie miała innej drogi wyjścia,“ to już co najmniej gwałtowną przemianą gatunku wrażliwości na „publiczną zniewagę kobiety“ ową rycerskość w ustach człowieka, który „miał odwagę“ o innej kobiecie napisać (w *Ognisku*), o „pewnej podstarzałej piękności ukraińskiej,“ że — według niego — „opuściła męża dla młodych propagandzistów.“ Ten sam człowiek jest tak czułym na cześć kobiecą, że w pięć miesięcy po mniemanym na nią zamachu jeszcze o tem „chłodno mówić nie może.“ Wywołuje on z przeszłości fakt, że obecny redaktor *Prawdy* stanął w obronie p. Szeligi, ale zapomina przytoczyć, co krytyk o niej powiedział i nie dodaje, czy napastowano wówczas redaktora gazety, w której pomieszczoną była recenzya. To mu niepotrzebne do „analogii.“ Wywołuje inny, przypominając, że drogę do sądu utorował już p. Zapolskiej — Świętochowski, który pozwał kiedyś redaktora *Przeglądu katolickiego* za — pomówienie o propagandę socyalistyczną. Na „szalach sumienia,“ które „najściślej ważyły każdy wyraz“, zarzut czysto literacki okazał się równym denuncyacyi o surowo karany spisek, krępujący publiczną działalność redaktora, nie mówiąc już o tem, że Świę-

tochowski poprzestał na zwykłem sprostowaniu i nie żądał kary, ale złożenia dowodów.

W gamie swych „oburzeń“ ten operowy elegista z brawurą wybija nuty kłamstwa. Woła on np. z całą śmiałością, karcąc „samochwalstwo.“ że Poseł prawdy „przedstawił się w ostatniem „Liberum veto“ jako Sokrates,“ pomimo że w owem „Liberum veto“ (nr 16) znajduje się wyrażenie: „*Nie jestem Sokratesem* i żadnego z moich Meletusów do nieśmiertelności nie przeniosę, bo sam do niej nie dojdę.“ Widocznie p. Wścieklica przypuszcza, że gdzie jest Meletus, tam musi być Sokrates, albo też taka go ogarnęła tęsknota za nieśmiertelnością, że już wolał nam dać siłę Sokratesową, abyśmy go tylko przenieśli.

Gdyby ludzie mali zdolni byli odczuwać śmieszność swoich uroczystych min, p. Wścieklica, natchniony „obowiązkiem obywatelskim,“ z „otwartemi nareszcie oczami,“ „spełniający powinność, do jakiej *powołuje* go sztandar“ — ten komiczny chorąży po napadzie męstwa dostałby napadu wesołości — z siebie. Zdaje mu się, że jest mężem wyższego przeznaczenia, mścicielem krzywd, pobłogosławionym na walkę przez arcykapłana postępu p. Lewenthala, Krakusem zabijającym smoka w pieczarze naszego liberalizmu. Gdy mówi: „*muszę* spełnić powinność“ — wierzysz, że nie wytrzyma. I rzeczywiście, nie wytrzymał. „A jednakże — woła w zakończeniu, naśladując Brutusa, pod którego stopami leży zabity Cezar — ja tego człowieka (redaktora *Prawdy*) niegdyś nieledwie czciłem; kruszyłem kopie w jego obronie (!!) słowem i piórem, a byłbym był gotów nawet piersią go zasłonić (!). Kiedy mi się nasuwały *fakty*, odzierające jego charakter z *urojonego w mej głowie* nimbu, przez długi czas broniłem się bolesnemu rozczarowaniu itd. Dziś... obowiązek...“ Tak deklamuje tylko prowincyonalny aktor. Boć jeżeli „gorący niegdyś zwolennik“ sam wyznaje, że go „poróżniła“ sprawa p. Zapolskiej i innych „faktów“ nie przywodzi, jeżeli „głowa,“ w której przez kilkanaście lat „roił się nimb,“ zdziera go z przedmiotu swej czci za jedną cudzą recenzyę — to zaiste mało warta taka głowa. Bez żalu też wraz z „piersiami,“ które nas „zasłaniać“ miały i wraz z „kopiami,“ które się za nas kruszyły, — odstępujemy ją p. Lewenthalowi, jako piastunowi zbolałego liberała, lub naszemu następcy w sercu p. Wścieklicy, gdyby on nie uznał za stosowne być sam dla siebie ideałem i przewodnikiem „partyi.“

Naturalnie owym następcą nie może być nikt inny — tylko równej miary olbrzym —

Nr 2, p. L. Straszewicz. Po melancholijnej przegrywce redakcyi *Kuryera warszawskiego*, osnutej na starym i banalnym motywie niechęci do Świętochowskiego, a mającym nastroić publiczność rzewnie, wyskoczył on i Ajaksowym tonem przedstawił się na nowej scenie. I ten, naturalnie oznajmił, że „musi wystąpić,“ że również usłyszał „wyraźny głos obowiązku“, że dłużej wytrzymać nie mógł. Zachodzi wszakże między tymi panami znaczna odmienność. Jeźli p. Wścieklica jest albo pociesznym aktorem, albo umysłem ciasnym, płytkim, łatwo polaryzującym się w fanatyzmie, to p. Straszewicz przedstawia typ zuchwałego potwarcy, który nie cofa się ani przed niegodziwą insynuacyą, ani przed cynicznem kłamstwem, ani przed niecnem posądzeniem. Posłuchajcie tylko, co ten jegomość, żądający, ażeby „stronnictwa w imię solidarności nie tolerowały *występku*,“ pisze o nas „bez najmniejszego niepokoju sumienia:“ Świętochowski „poróżnił się *ze wszystkimi* towarzyszami broni. *Każdy*, kto go dotknął (!) bliżej, musiał się wkrótce usunąć, zasmucony, rozżalony. Roczniki *Prawdy* świadczą, jak kolejno *opuszczają go wszyscy*.“ Dla odparcia tego czelnego kłamstwa nie wystarczy nam śmiech naszych współpracowników i czytelników, winniśmy je napiętnować wyraźniej. Że w każdem piśmie, że na niwie uprawianej zbiorowo, odbywa się przemiana w zastępie sił, że jedne wychodzą, drugie wchodzą— to jest faktem zwykłym i naturalnym. *Prawda* wszakże wyjątkowo długo zdołała utrzymać swoje grono. Oprócz „towarzyszów broni“ p. Straszewicza zaledwie paru opuściło ją „zasmuconych,“ a przeszło dziesięciu pozostaje w niej od początku. Jeśli zaś niektórzy poświęcają swe zdolności bądź innym zawodom, bądź korzystniejszym stosunkom dziennikarskim — czy to dowodzi, że ich odsunęło bliższe „dotknięcie?“ Nie wymieniając kryptonymów i anonymów, których nie odsłaniamy dotąd, *Prawda* liczyć może na życzliwy w niej udział: Baudouina de Courtenay, Bema, Biegeleisena, Bogackiego, Chmielowskiego, Cohna, Franka, Gosiewskiego, Gumplowicza, Hirszbanda, Jeża, Karłowicza, Kozłowskiego, Lisiewicza, Marrenowej, Przewóskiego, Pawłowskiego, Potockiego, Ramulta, Smoleńskiego, Wysockiego i wielu innych. Faktem jest, że *Prawda* wszystkich sił swego koła zużytkować nie może, że prędzej czy później będzie musiała swoje ramy rozszerzyć, że inne pisma zasilają się artykułami przez nią nieprzyjętymi bądź dla braku miejsca, bądź dla niedostatecznej wartości. Jak zaś nas czasem „opuszczają zasmuceni,“ i jak gdzieindziej wchodzą rozradowani, przekona wymowny dowód. P. Straszewicz, po wypowiedzeniu mu przez nas stosunku, usiłował wielokrotnie do niego wrócić. Ustawicznie przez p. S. Dembego upewniał nas o swoim żalu, sympatyi, niemożności pracowania z równem zadowoleniem gdzieindziej, a czynił to nawet wtedy, gdy jednocześnie*) uczestniczył w meetingach, mających uchwalić przeciw nam „protest“ z powodu p. Zapolskiej. Czynił to aż do tej chwili, w której nasza odmowa dowiodła mu ostatecznie, że go „powołuje“ do zemsty „wyraźny głos obowiązku,“ że „musi wystąpić.“ Tak „opuszcza zasmucony,“ a teraz jak wchodzi? Chciał „protestować“ przeciwko pomieszczeniu go między współpracownikami *Kraju* i opuściwszy *Prawdę*, zaczął pisywać do — *Kraju*. Skarciwszy w *styczniowym* zeszycie *Ateneum* redakcyę *Wędrowca*, który —według niego — „zmieniał deseń i barwy co numer“ i wydawał mu się takim, „jak gdyby kierownictwo pisma pozostawiono ślepemu przypadkowi,“ w kilkanaście dni dał temuż *Wędrowcowi* artykuł. Upewniając swoich znajomych (między innymi p. J. Potockiego), że dwu ludzi musi *zdemaskować*: Chmielowskiego i Spasowicza, wstąpił do *Ateneum*, którego redaktorem jest Chmielowski, a wydawcą Spasowicz. Wreszcie ogłosiwszy w *Wędrowcu*, że „dziś polemiczne cietrzewienie się jest *warcholstwem*“, że nie zrozumieliśmy, „jak *nieobywatelskie*, jak *potwarcze* jest gryzienie się między sobą biedaków, żyjących pod groźbą utraty bytu“ — zamieścił w *Kuryerze warsz.* swoje „polemiczne cietrzewienie się,“ zaprawione paszkwilem. Tak — paszkwilem. Temu panu ciągle zsuwają się z pióra przeciw nam wyrazy: „występek,“ zły „charakter“ itp. Wabi on nas nawet do rozprawy przed kratkami sądu karnego (gdzie ostatecznie będziemy musieli z nim się spotkać), rzucając w przelocie uwagę: „Na działalności p. Św. ciążą *różne winy*, ale mu *wybaczono wszystko*, bo wierzono, iż *robi* to wskutek szczerych przekonań.“ Ponieważ p. Straszewicz, krzyknąwszy w *Kuryerze warsz.* „nie pozwalam,“ wyjechał do Tykocina, zapytałem przez dwu świadków p. Szymanowskiego: jakie to „winy ciążą na działalności p. Św.“ i otrzymałem odpowiedź, że p. Szymanowski nie wie, o jakich „winach“ myślał p. Straszewicz, przypuszcza tylko, że może o... artykule w *Ognisku*. Pomijając dwie miary pisma, które od nas żąda sprawdzenia twierdzeń literackich stałego współpracownika, a samo nie zadaje sobie nawet trudu zapytać własnego gościa o podstawę ciężkiego oskarżenia, rozprowadźmy logicznie ową hipotezę: przekonania polityczne redaktora *Prawdy* są jego „winą,“ którą mu „wybaczono“, dopóki recenzya p. Popławskiego o utworach p. Zapolskiej nie wykazała że owe przekonania Świętochowskiego“ nie są szczere.“ Dalej zły bezsens zajść nie może.

*) Nie dla literatury, której to jest obojętnem, ale dla „moralności,“ której p. Straszewicz jest obrońcą, warto, ażeby jego „towarzysze broni“ sprawdzili ten fakt naoczną konfrontacyą z p. Dembym.

Dłużej w tej kałuży brnąć nie będziemy — zestawimy tylko ogólne wyniki jej rozbioru. Człowieka, który przez 16 lat długo w niedostatku a dotąd nie w bezpieczeństwie o byt swój i swojej rodziny pracował nad rozwojem u nas idej postępowych, człowieka, który nigdy nie frymarczył przekonaniami, nie sprzedawał pióra więcej dającemu, człowieka, który przez lata całe nie pozwala sobie na tydzień odpoczynku, człowieka, który do skarbca literatury złożył nienajmniejszą daninę a części młodszego pokolenia dostarczał pokarmu duchowego — wolno bezecnie unurzać dwu zuchom, którzy tylko przypięli sobie kokardki barwy jego sztandaru, którzy łżonemu zawdzięczają niemal swoje wejście do dziennikarstwa, a jeden z nich nawet swoją wprawę w ortografii. Jeżeli tego dokonano „w imię prawdy i moralności,“ to pod tymi znakami można rozbijać wszędzie i wszystkich. Każdy żywioł literacki i społeczny musi mieć swoje męty. Mętami, niczem więcej, polskiego liberalizmu są pp. Wścieklica i Straszewicz. Wolelibyśmy, ażeby ten niezdrowy osad nie był się ujawnił, ale skoro wypłynął, musimy go zszumować i nie dopuścimy, ażeby on się rozszerzał. Ciury obozowe nigdy nie hetmanią, a karły mogą tylko witać odkrytemi głowami wchodzące do literatury talenty i zdolności prawdziwe, ale nie zajmą w niej miejsc zaszczytnych, chociażby sobie napełniły wszystkie kieszenie kamieniami. W t. z. stronnictwie postępowem istnieją u nas i waśnie osobiste, które takt wstrzymał od starć publicznych, istnieją różnice zasadowe, które łagodzono poczuciem wspólnego celu; dopiero teraz drobna, nieznana szczypta umysłów miałkich usiłuje rozdmuchać się w tuman kurzu, zasypującego nieświadomym oczy. I z jakich to ona wyleciała dmuchawek? Z *Kłosów* i *Kuryera warszawskiego*, dwu pism, które najzawzięciej prześladowały nasz liberalizm od kolebki. Nie mówiąc już o naszych współwyznawcach, jestem przekonany, że najtwardszy a uczciwy zachowawca, obejrzawszy tę śmiertelną koszulę, szytą nićmi osobistej złości przez czeladników, którzy obrazili się na majstra i którym dla nasycenia złości nie spadła ze stołu sądowego najmniejsza kruszyna zemsty — odwróci się od tej roboty ze wstrętem. Bo nie chodziło w niej o *obrazę* p. Zapolskiej, ale *napaść* osobistą na nas. *Das war also des Pudels Kern.*

A. Świętochowski.

FEJLETON.

NA WIDNOKRĘGU.

Bank włościański. — Sprawa czynszowa. — Odwołanie się do Bismarka. — P. Aron.— Handel końmi.

Przed samemi świętami nadeszła dawno oczekiwana wiadomość, że bank włościański dla Królestwa został nareszcie w zasa-

dzie zatwierdzony i projekt jego organizacyi przedstawiono już Radzie państwa. Bank dawać będzie włościanom pożyczki na kupno gruntów, szczególnie zaś większych majątków, przeznaczonych na parcelacyę. Szacunek nabytej ziemi oznaczać mają właściwe organy urzędowe, pożyczka zaś nie powinna przewyższać 90% tej normy i tylko w wyjątkowych okolicznościach podniesioną być może do 100%. Kredyt będzie długo terminowy na 5½% rocznie, z których 4½ jako procent od obligacyj, 1% zaś na umorzenie długu. Na kapitał zakładowy banku przeznaczono resztę t. z. funduszu użyteczności publicznej w kwocie z górą 2 milionów rubli.

Takie są dane urzędowe, które pozwalają już dziś sądzić o zakresie działania i znaczeniu nowej instytucyi. Jakkolwiek bank włościański jest koniecznem i pożądanem uzupełnieniem reformy stosunków rolnych, dokonanej przed dwudziestu kilku laty, nie należy przeceniać doniosłości jego i sądzić, że radykalnie rozwiązuje on sprawę proletaryatu wiejskiego. Bo chociaż operacye banku nie ograniczą się na sumie 2 mil. rubli, jak to błędnie wywnioskowały niektóre pisma, gdyż posiada on prawo wypuszczania listów zastawnych, wszakże wobec olbrzymiej cyfry ludności bezrolnej działanie jego będzie tylko półśrodkiem, obliczonym na długi niezmiernie przeciąg czasu. W Cesarstwie, gdzie procent ludności bezrolnej jest znacznie mniejszy, bank łatwiej uzupełni braki reformy włościańskiej, tam zresztą przychodzi on głównie z pomocą małorolnym, którzy bądź dokupują przyległe grunty, bądź sprzedają swoje działy i w ten sposób oprócz pożyczki bankowej posiadają pewien kapitał. U nas tymczasem nietylko małorolni powinni korzystać z pomocy banku, ale również cała masa ludności pozbawionej ziemi i utrzymującej się tylko z zarobków. Nie wiadomo, jakie kategorye włościan będą miały pierwszeństwo, poprzednie projekty mówiły głównie o bezrolnych, w ostatnich wiadomościach nie znajdujemy o tem wzmianki, ale ta okoliczność, że norma pożyczek podwyższona została do 90%, a nawet 100% całkowitego szacunku, zdaje się świadczyć, iż bank zamierza przeważnie udzielać kredytu ludności bezrolnej. W takim razie rozmiar pożyczki powinien być dosyć wysoki, bo tworzenie drobnych np. 6-morgowych działków byłoby nawet szkodliwem. Uznały to nawet władze rządowe, którym przedstawiono poprzednie projekty, jak np. łomżyńska komisya do spraw włościańskich, która na podstawie szczegółowych obliczeń wykazała, że położenie parobka lepszem jest pod względem materyalnym, aniżeli takiego sześcio-morgowego właściciela.

Początkowe operacye banku winny być prowadzone bardzo ostrożnie, trzeba bowiem przekonać się, czy spłaty odbywać się mogą prawidłowo. Gdyby bank od razu udzielać zaczął pożyczek na miliony rubli, ceny ziemi podskoczyłyby w górę ze szkodą nabywców. Najwłaściwszem byłoby może, żeby bank sam kupował majątki, zwłaszcza z licytacyi publicznej i potem dopiero sprzedawał je na działki. Podobno punkt taki istnieje w projekcie, przedstawionym Radzie państwa. Rozumie się, że oprócz tego bank powinien pomagać włościanom, którzy nabywają ziemię z wolnej ręki. Wogóle w sprawie tak nowej, instytucya finansowa musi korzystać z pewnej, dosyć szerokiej swobody działania, doświadczenie bowiem nauczy dopiero, które sposoby są praktyczniejsze i korzystniejsze.

Teraz właśnie z chwilą rozpoczęcia działań banku włościańskiego sprawa taniego, krótkoterminowego kredytu dla rolników drobnych nabiera znaczenia. Chłopu, siedzącemu na ojcowiźnie, kredyt krótkoterminowy w wyjątkowych tylko razach jest potrzebny i to w bardzo ograniczonych rozmiarach. Ale nowo-nabywca, który w stałych terminach płacić musi raty bankowi, często potrzebować będzie kredytu w kasach gminnych. Ponieważ obecnie Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu zajęło się sprawą zbadania i uporządkowania działalności instytucyj pożyczkowych, winno zwrócić uwagę na ten przewidywany fakt. Kasy gminne koniecznie należy zreformować, dzisiaj bowiem kredyt w nich przystępny jest jedynie dla wybranych. Ułatwienie chłopu nabycia ziemi, to dopiero połowa zadania, gdyż trzeba jeszcze umożliwić mu spłatę pożyczki bankowej. Jeżeli kiedy, to dzisiaj reforma kas gminnych jest bardzo pilną i posiada widoki pomyślnego urzeczywistnienia. Prawda, że Towarzystwo nie ma w danym wypadku głosu decydującego, ale jego zdanie poparte właściwą argumentacyą, znalazłoby prawdopodobnie posłuch. Ważniejsze to, aniżeli zamiar stworzenia instytucyi centralnej dla wszystkich stowarzyszeń finansowych, zwłaszcza, że zapewne, za przykładem innych naszych banków, zapomniałaby ona prędko o właściwych swoich celach i przybrała charakter spekulacyjny.

Jednocześnie z projektem banku włościańskiego dla Królestwa rozstrzygniętą będzie sprawa uwłaszczenia czynszowników w guberniach zachodnich. W ostatnich dniach, z powodu olbrzymiego procesu w izbie kijowskiej kilkuset czynszowników z hr. Branickim wywiązała się znowu namiętna polemika między obrońcami i przeciwnikami prawa czynszowego. W sprawie tej nastąpiło dziwne zmieszanie żywiołów. Czynszowników, przedstawicieli narodowości polskiej, bronią prawnicy i gazety rosyjskie, przyczem powołują się na autorów polskich, na słowa królewskie, utrzymują, że stosunek czynszowy jest zabytkiem czasów polskich i żądają zachowania tej tradycyi. Z drugiej strony występują uczeni i adwokaci polscy, którzy ze *swodem zakonow* i foliantami ukazów w ręku dowodzą, że stosunek czynszowy sprzeciwia się prawu rosyjskiemu, zaprzeczają powagi i znaczenia postanowieniom królewskim oraz sejmów i dążą do wydziedziczenia żywiołu polskiego z ziemi od wieków potem jego zroszonej. Niedługo doczekamy się zapewne, że p. Dawidenko wystąpi z odpowiedzią w polskim języku na dzieło rosyjskie p. Rembowskiego. Tymczasem panowie, którzy mają odpowiednie środki na egzekucye i najem adwokatów, wyrzucają setki rodzin z siedzib ojcowskich i tworzą „fakt dokonany,“ z którym nowa ustawa liczyć się będzie zmuszona. Kiedy zaś polscy patryoci w interesie nielicznej garstki panków dążą do jaknajprędszego wytępienia żywiołu polskiego w guberniach zachodnich, pomysłowy redaktor *Graždanina* zapożycza od nich argumentów i twierdzi, że przeciwnicy czynszowników mają racyę... ale tylko odnośnie do majątków posiadanych dziś przez rosyan. Pp. Spasowicz i Rembowski dowodzą, że prawa tych tylko czynszowników winny być szanowane, którzy posiadają dokumenty wydane przed 1840 r. Znawcy stosunków miejscowych twierdzą znowu, że do 1863 roku rozdawano bardzo chętnie ziemię na czynsz wieczysty, dlaczegóż ci późniejsi mają być skrzywdzeni. Opieranie się na dokumentach doprowadziłoby do nadużyć, w bardzo wielu wypadkach bowiem umowy były ustne. Czynszownicy nie domagali się piśmiennych zobowiązań, bo w czasach kiedy osiadali, nie ludzie łaknęli ziemi, a dzisiaj, ale ziemia — że tak powiem — szukała ludzi. Właściciel majątku rad był, że potrafił zwabić osadników na pustki i chętnie czynił im możliwe ulgi. Tak było nietylko przed dwustu lub stoma laty, ale nawet w czasach bliższych, które starzy ludzie pamiętają i w wielu miejscowościach taki stan rzeczy trwał aż do chwili uwłaszczenia chłopów. Dzisiaj stosunki się zmieniły, ale w czemże to zmniejszać może słuszne prawa czynszowników. Wogóle powoływanie się na przepisy prawa, bez uwzględnienia stosunków obyczajowych i ekonomicznych, nie może wyrażać słusznego poglądu na zawikłane sprawy życia.

Nie wiadomo jeszcze, czy nawet przy uwłaszczeniu czynszowników rolnych, wymierzoną zostanie sprawiedliwość osadnikom miejskim, których domy w znacznej liczbie miast i miasteczek stoją na gruncie dworskim. Jest to również sprawa niecierpiąca zwłoki, z uwagi na dobrobyt i porządek miejski. Ta okoliczność, że w danym wypadku czynszownikami są w znacznej części żydzi, nie powinna chyba wpływać na sposób rozwiązania kwestyi. Przy tej sposobności możnaby znieść istniejącą dotychczas anomalię, że wiele miast i miasteczek należy dziś jeszcze do osób prywatnych (między innemi Berdyczów ze 100 tysięczną prawie ludnością).

Chłop polski tak chciwy jest ziemi, że dla pozyskania jej gotów wejść w umowę nietylko z „kusym,“ ale nawet z młodszym jego bratem — niemcem. Włościanie z gubernii płockiej, niezadowoleni z przyznanego im wynagrodzenia za służebności, apelowali do różnych władz, kiedy zaś to nie pomogło, udali się z prośbą do Bismarka. Kanclerz listu nie przyjął, a nawet odesłał go tutejszej władzy, jako „niewłaściwie skierowany.“

Na względy pruskie zasługuje sobie p. Aron B., dziedzic Sobienia Kiełczewskiego w Garwolińskiem, który majątek swój przezwał: *Sobin Kielczewsky bei Pilawa.*

Teraz przyczynek do naszej etyki społecznej. Jeden z obywateli ziemskich w okolicach Brześcia Kujawskiego sprzedał krewnemu swemu parę koni, zaręczając, że są bez wady. Po kilku dniach nabywca przekonał się, że został oszukanym, zażądał więc zwrotu pieniędzy. Sprzedawca odmówił, wtedy zwołano sąd honorowy, który postanowił zwrot pieniędzy. Przegrywający wyroku nie przyjął, twierdząc, że handel końmi polega głównie na omamieniu nabywców. Jakże oburza nas takie zdanie w ustach żyda, a zacny obywatel bezkarnie wygłosić je może, bo przecie nawet członkowie sądu honorowego nie zerwą z nim stosunków. Nawet korespondent, który potępia ten „smutny objaw,“ grzecznie powiada: „że się tak wyrażę, oszustwa.“

J. Nieborski.

O PRAWDĘ.

(W sprawie produkcyi cukru).

Nr 12 *Prawdy* z r. b. pomieścił w swych szpaltach artykuł pod tytułem: „Zjazd cukrowników.“ Autor, p. J. L., podając do wiadomości publicznej jedno z żądań owego zjazdu, a mianowicie żądanie ograniczenia produkcyi cukru na potrzeby rynku wewnętrznego do wysokości 18 milionów pudów, powiada krótko, że organizatorom tej kosztownej zabawy protegowania swojskiego przemysłu chodzi jedynie o wyciągnięcie jak największych zysków.“

Pan J. L. nie zbadał dokładnie przedmiotu, nie weźmie mi więc za złe, że postaram się go wyręczyć — a wywiążę się chyba najlepiej z tego zadania, podając w streszczeniu „Uwagi nad obecnym stanem przemysłu cukrowniczego i sposobami usunięcia istniejącego przesilenia,“ będące właśnie wyrazem przekonań zjazdu cukrowników, który się odbywał w Petersburgu od 16 lutego do 2 marca r. b. Przekonania te podziela mniej więcej świat cukrowniczy; czy przedstawiciele „zastoju i niezaradności,“ którymi to przymiotami tak szczodrze nas darzy p. J. L., mylą się, lub nie — czytelnik zechce osądzić z poniżej zamieszczonego streszczenia. Za-

nim jednak do niego przystąpię, chciałbym jeszcze w świetle cyfr przedstawić zarzuty, czynione przez p. J. L. całemu cukrownictwu. Żałuję bardzo, że rozmiary artykułu i charakter pisma nie pozwalają mi przytoczyć wszystkich cyfr, muszę się z konieczności ograniczyć na wynikach ostatecznych, odsyłając tylko ciekawego czytelnika do trochę obszerniejszego artykułu, któremu — mam nadzieję — łamy *Przeglądu technicznego* nie odmówią gościnności.

„Nie ma hyperprodukcyi“ — twierdzi p. J. L. Tymczasem podług cyfr, podanych przez Görz'a (*Handel u. Statistik d. Zuckers*), który wprawdzie przyjmuje za małą ludność, a więc i przyrost jej — nadmiar produkcyi cukru w Rosyi wynosi mniej więcej 17,865,000 pudów; podług zaś wspomnianego referatu — 15 milionów pudów. Pan J. L. rozumuje mniej więcej w ten sposób: obecnie na głowę w Rosyi wypada 7½ funta cukru; jeżeli produkcya będzie większa, ceny spadną i konsumcya się powiększy. Jest to rozumowanie dość niebezpieczne, bo możnaby wyciągnąć z niego np. wniosek, że dopóty w Rosyi nie będzie nadprodukcyi, dopóki konsumcya nie dojdzie choćby do wysokości angielskiej, t. j. 75½ funt. na głowę. Przy tej sposobności małe zapytanie: skąd p. J. L. czerpał swe cyfry? Podaje on konsumcyę angielską z przed laty czternastu, a więc w 1872 r. na 17 funt.; tymczasem w najdawniejszym roku, który mogłem odszukać, tj. w 1843 konsumcya na głowę wynosiła już 17,19 funt. ros. (Stammer. *Wykład cukrownictwa*, str. 25). Pan J. L. wspomina wprawdzie, że konsumcya zależy od dobrobytu ludności, ale za mało trochę kładzie na tę zależność nacisku. W Anglii od roku 1867, kiedy podatek od cukru wynosił 12 szylingów, po zniesieniu podatku konsumcya wzrosła o 44 proc.; ale i konsumcya tytoniu, który nie ulegał zmianie w opodatkowaniu, od roku 1859—1875 wzrosła o 40 proc.: na zwiększenie więc konsumcyi wpłynął wzrost dobrobytu. W Niemczech z porównania przeciętnych cen i konsumcyi za dwa pięciolecia 1872—1877 i 1877—1882 widzimy, że przy zmniejszeniu się ceny o 20 proc. konsumcya wzrosła o 5,4% (*Zeitschr. d. Vereins für d. Rübenz. Ind.* 1885 Juli).

„Cukier nie jest bynajmniej przedmiotem zbytku, lecz artykułem codziennego spożycia znacznych mas ludności“ — ale chyba jeszcze nie w państwie rosyjskiem, w którem podług Görz'a jeden mieszkaniec wydaje na cukier rocznie 3,35 marek, gdy tymczasem we Francyi wypada na głowę 10,68 mk., w Anglii 16,91 mk., w Danii 18,22 mk. rocznego wydatku na cukier. Cukier konsumuje przeważnie ludność miejska, a wiadomo, że stanowi ona bardzo niewielki precent ogólnej ludności w państwie rosyjskiem.

„Kultura buraków prowadzona jest niedbale, przeróbka zaś ich jeszcze niedbalej, jeżeli to być może“ — twierdzi pan J. L. Dla ilustracyi tego twierdzenia przytoczę kilka cyfr za kampanię 1881/2—1883/4, przyczem jako źródła służyły mi: Stammer. *Jahresberichte*. Sachs et Le Docte. *Revue universelle des progrès de la fabrication du sucre*. Tołpygin. *Jeżegodnik* r. 1881/2 i 1882/3. oraz *Wiestnik finansow, torgowli i promyszlennosti*.

Na 100 buraków otrzymano cukru proc.

	Niemcy cukr. surow.	Francya rafinady	Austrya	Belgia		Rosya
1881/2	9,56	5,06	10,8	—		7,43
1882/3	9.55	5,03	9,11	5,58	oficyalnie	7,67
				6.6	podł. Vivien'a	
1883/4	10,54	5,55	9,33	—		8,44

przyczem 100 cukru surowego = 90 rafinady.

Pod względem zbioru buraków z danej przestrzeni państwo rosyjskie zajmowało ostatnie miejsce: z 1 hektara zbierano w tym czasie 12210—14924 kilogramów, gdy w Niemczech 28300—344000 kgr., a we Francyi 33793—35356 kgr. Nie jestem specyalistą gospodarzem, i zdaje mi się, że ogromna wyższość kultury na zachodzie jedynie prawie tę okoliczność tłomaczy. Możnaby wprawdzie wiele na usprawiedliwienie tej niższości gospodarstwa buraczanego w państwie rosyjskiem przytoczyć, ale— przypuśćmy — że ten zarzut jest słuszny; chociaż w ostatnich latach wielkie na tem polu zrobiono postępy. Co się tyczy technicznej strony fabrykacyi, nie mamy się znowu tak bardzo czego wstydzić: ustępujemy Niemcom i Austryi — Aleć to nasi nauczyciele. Pracujemy ciągle i każdy rok przynosi na tem polu postęp; a gdyby pan J. L. zechciał uwzględnić ciężkie warunki zdobywania wiedzy technicznej, możeby tak nie szafował zarzutami niedbalstwa, zastoju i niezaradności.

„Cukier rosyjski nie wytrzymuje współzawodnictwa, bo jest za drogi“ — powiada pan J. L. Najtrudniej wynaleźć cyfry tyczące się kosztów przerobu: ale spróbujmy. R. 1881/2: w Niemczech (*Jahresbericht*) koszt otrzymania 1 puda cukru wynosił (licząc marka=50 kop.) średnio 4,51 rs.; w państwie rosyjskiem (*Jeżegodnik*) 4,58 rs. R. 1883/4: w Niemczech — 4,12 rs.; we Francyi (licząc frank=40 kop.) — 4,00 rs. (*Wiestnik* 1885. 4.); w państwie rosyjskiem podług obliczeń p. Blocha dla fabryk produkujących w dobrych warunkach — 4,15 rs. Produkujemy zawsze drożej niż zachód, a współzawodnictwo ułatwiają bezzwrotne premie wywozowe, które we wszystkich prawie krajach, produkujących na wywóz, zapewnione są producentom wprost lub pośrednio t. np. w r. 1883/4 premia wywozowa w Niemczech wynosiła do 25½ kop. na pudzie.

Takie cyfry przeciwstawiam twierdzeniom pana J. L., niech one mówią za mnie. Przechodzę do streszczenia referatu, wymienionego na wstępie, ograniczając się na punktach najważniejszych.

Sądząc po cenach cukru, które od października 1883 r. spadły z 6,80 rs. za pud na 4,20 rs., produkcya przeciętna z lat 1881/2 i 1882/3, wynosząca mniej niż 17 mil. pud. wystarczała na potrzeby rynku wewnętrznego; przyjmujemy wszakże, że konsumcya roczna wynosi 18 mil. i że w r. 1883/4 nie było żadnych zapasów cukru. W r. 1884/5 i 1885/6 przybywa razem 51 mil. pud.; ubywa dwuletnia konsumcya 36 mil. + wywiezione do 27 lutego r. b. 5,8 mil. razem 41,8 mil. czyli nadmiar wynosi 9,2 mil. pud. Tego nadmiaru nie można spieniężyć na rynku wewnętrznym; nie można też wywieść za granicę, bo rynek londyński daje za pud *loco* fabryka 2,05 rs., kiedy sam koszt wyprodukowania, nie licząc ogólnych, wynosi w najkorzystniejszych warunkach 2,50—2,75 rs. Rozpoczyna się zatem przesilenie. Fabryki uboższe upadają; pozostałe, zarzucone burakami przez rolnika, któremu gospodarstwo buraczane więcej się opłaca niż gospodarstwo na ziarno, nie ograniczają zrazu produkcyi, przyczem ulepszenia w uprawie buraków i technicznej stronie fabrykacyi powiększają wydatek. Upadają nowe fabryki, dopóki nie pozostanie ich tyle, ile potrzeba do zaspokojenia potrzeb rynku wewnętrznego. Upadają naprzód fabryki należące do rolników, którym brak kapitału do przetrzymania kryzysu i fabryki małe. Upadek fabryki odczuwa właściciel, tracąc przy likwidacyi; odczuwa rolnik, który wprowadził okopowe do płodozmianu; odczuwa robotnik, który odrazu rzuca setki rąk na rynek pracy, przepełniony i tak jej podażą. Zyskuje na razie konsument dopóty, dopóki trwa przesilenie, bo potem niewielka ilość dużych fabryk wyzyskuje monopol. Środek osłabienia przesilenia: ograniczyć ilość cukru wysyłaną na rynek wewnętrzny do rzeczywistej potrzeby 18 mil. pudów; wtedy ceny powoli produkować z pewnym zyskiem, cenę zaś zbyt wygórowaną państwo może zawsze uregulować przez obniżenie cła wchodowego. Następstwa: wszystkie fabryki mogą się utrzymać, bo wszystkie w jednakowym stosunku zmiejszają swój przerób. Wprawdzie zmniejszenie przerobu skróci robotnikom (nie zmniejszając ich liczby) czas roboczy i zmniejszy obszar plantacyi, ale — jednakowo w całem państwie, nie wywołując miejscowych przesileń. Na to zaś jedyny środek: powiększyć z góry dla każdej fabryki normę produkcyi w stosunku stałym, przeznaczając cukier otrzymany ponad normę wyłącznie na wywóz. Przy wywozie fabryka otrzymuje zwrot opłaconej za taki cukier akcyzy, wynoszącej 3,50 rs. od puda i bezzwrotną premię, wyrównywającą różnicę pomiędzy kosztem przerobu i ceną rynku zagranicznego. Taką premię płacą wszystkie prawie kraje, które produkują na wywóz. Państwo nie traci na tem, bo przerób zwiększony dla wywozu daje utrzymanie ludności roboczej, która, nie tracąc siły podatkowej, wraca państwu ten podatek pośrednio.

K. Chrząszczewski.

Nadprodukcyi cukru nie należy dowodzić przewyżką 9 milionów pudów z dwóch lat ostatnich, bo cały ten zapas przy nieznacznem zwiększeniu spożycia znalazłby nabywców. Nie zaprzeczam, że wzrost spożycia zależy głównie od dobrobytu ludności, ale p. Chrząszczewski wpada w drugą ostateczność, twierdząc, że zniżenie ceny produktu nic nie znaczy. Zdaje się, że jest to fakt tylokrotnie stwierdzony i tak naturalny, iż wątpić o nim nie można.

Przytoczone przez p. K. Ch. cyfry świadczą, że gdyby cena cukru była niższą, wzmogło by się spożycie. Jeżeli w Rosyi jeden mieszkaniec kupuje cukru rocznie za 3 m. 35 f., to anglik, wydając w tym samym czasie 5 razy więcej, nabywa towaru 9 razy więcej.

Cyfry, o pochodzeniu których p. K. Ch. dopytuje się, wzięte zostały bądź zgazet rosyjskich (*Nowosti i Zaria*), które czerpały je ze sprawozdań zagranicznych lub broszur specyalnych. Zresztą idzie tu tylko o cyfrę wydajności cukru, podają ją *Nowosti*, jak to w artykule moim zaznaczyłem. „Przed czternastu laty“ jest poprostu omyłką druku, powinno być przed czterdziestu, wtedy cyfra podana przezemnie zgadza się z cyfrą p. Chrząszczewskiego.

Nie można kosztów przerobu obliczać w ten sposób, jak to czyni p Chrząszczewski, który markę liczy po 50 a frank 40 kop. Fabrykantów angielskich, francuskich i niemieckich nie obchodzi nasz kurs rubla, u nas zaś nizki stan waluty nie wpłynął wcale na zwiększenie głównych kosztów (opału, robocizny itd.) i odbił się tylko nieznacznie na drobniejszych wydatkach. Zgadzam się natomiast, że trudno bardzo obliczyć rzeczywiste koszty przerobu, dodam nawet, że w porównawczem ich zestawieniu trudność ta zmamga się jeszcze i dokładny rachunek jest niemożliwym, ale w przybliżeniu powiedzieć można, że koszt otrzymania puda cukru znacznie mniejszym jest we Francyi i Niemczech, aniżeli u nas.

Tyle co do szczegółów. Inne poglądy p. K. Ch. wymagają dłuższej odpowiedzi, ponieważ różnimy się teoretycznie. Tutaj polemika musiałaby przyjąć szerszy zakres i poruszyć kwestye, które z położeniem cukrownictwa u nas mają bardzo odległe powinowactwo. Zaznaczę więc jeszcze niektóre tylko różnice zdań.

O przesileniu w cukrownictwie nie może być mowy, jeżeli dywidenda wynosiła za ubiegłą kampanię średnio 16%. Bankrutować więc mogą nieliczne tylko przedsiębiorstwa, które nie mają żadnego prawa do wsparć z kieszeni opodatkowanej ludności.

Robotnicy na ograniczeniu produkcyi nic nie zarobią, bo albo zmniejszy się ich liczba, albo ilość godzin pracy i — co za tem idzie — płaca, która i teraz już jest tak nizką, że przy najmniejszej redukcyi upadnie niżej kwoty, niezbędnej dla utrzymania.

Zgadzam się natomiast, że przy obniżeniu ceł wchodowych ograniczenie produkcyi przestanie być szkodliwem dla spożywców. Ale to p. Chrząszczewski jedynie proponuje oba te środki, zjazd zaś o pierwszym z nich nic nie wspominał. Zarzuty o niedbalstwie i rutynie nie dotyczą wcale techników, albo raczej nie wkładają na nich odpowiedzialności, nie było się więc za co obrażać. Technik jest przecie zależnym od zarządu fabryki — wina więc nie ciąży na nim, ale również nie ma on obowiązku występować gorliwie w interesie przedsiębiorców i bronić ich od zarzutów. Niepotrzebnie więc p. Chrząszczewski bierze tak do serca zdania, które pod innym skierowane były adresem. Rutyna w przemyśle cukrowniczym *musi* istnieć, dopóki przemysł ten jest protegowanym, jest ona bowiem koniecznem następstwem przywileju. Na to nie potrzeba dowodów cyfrowych, bo fakt ten wielokrotnie został zaznaczonym przez ekonomistów.

Zresztą zwyczajne rozumowanie wystarcza tu najzupełniej.

J. L.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uwaga. O ile napaść pp. Straszewicza i Wścieklicy odpartą być winna pismem, załatwia się z nią osobny artykuł dzisiejszego numeru. O ile wymaga ona innych argumentów, załatwioną będzie we właściwy sposób. Jeżeli więc p. Wścieklica oświadcza, że ja „w sferze jego myśli i uczuć byłem *absolutnie niczem*," to postaram się, ażebym przynajmniej w sferze czucia obu wielkich mężów był *względnie czemś*. O myśli mi nie chodzi, pragnę tylko postawić jedynkę obok dwóch zer, ażeby im dać... wartość.

J. L. Popławski.

Egzaminy w uniwersytecie odbyć się mają koniecznie przed wakacyami, odkładanie ich na czas powakacyjny nie będzie dozwolonem.

Podatek 5% od kapitałów pobierany będzie i od akcyj towarzystw dróg żelaznych.

Okręgi pocztowe. Gubernie Królestwa zaliczone zostały aż do 4 okręgów pocztowych: warszawska, płocka, piotrkowska i kaliska do warszawskiego, suwalska do wileńskiego, łomżyńska i siedlecka do grodzieńskiego, wreszcie lubelska, radomska i kielecka tworzą oddzielny okręg lubelski.

Komisya do spraw żydowskich opracowała projekt pozwalający żydom stopniowo osiedlać się w różnych miejscowościach Cesarstwa, tym sposobem w ciągu 12 lat żydzi będą mogli mieszkać w całem państwie rosyjskiem.

Inspekcya fabryczna rządowa ma być znacznie powiększoną, ponieważ obejmie i robotników wiejskich. Inspektorowie fabryczni zasiadać będą również w nowo utworzonych zarządach gubernialnych dla spraw włościańskich.

Pożar. Wkrótce po pożarze Stryja spłonęło znowu w Galicyi miasto Lisko. Spaliło się około 400 zabudowań.

Kolonie letnie dla dzieci. W r. z. korzystało z pobytu na wsi 205 ubogich dzieci miejskich. Opiekun tego pożytecznego przedsięwzięcia dr Fritsche wzywa osoby dobroczynne do składek na rok bieżący, ponieważ z poprzednich ofiar pozostało zaledwie 219 rs.

Kara. Sprzedaż pojedynczych numerów gazet *Ruskija Wiedomosti* i *Sowremiennyja Izwiestja* została wzbronioną.

Prasa polska. W Olsztynku (Allenstein) w Warmii wychodzić zaczęło od kwietnia pismo w języku polskim p. t.: *Gazeta olsztyńska.* Nowy tygodnik nie będzie poruszał spraw wyznaniowych, ponieważ przeznaczony jest zarówno dla katolików warmijskich, jak i dla protestantów mazurów.

Pod naszą strzechę. Pod tym tytułem wyjdzie w Krakowie jednodniówka na korzyść wydalonych z Prus. Rozmiary artykulików ograniczono do 25 wierszy prozy i 35 poezyi.

Słownik litewsko-rosyjsko-polski, ułożony przez p. Łaszkiewicza, wkrótce wyjdzie z druku.

Amaurograf. Nazwę tę nosi przyrząd do pisania w ciemności, którego wynalazcą jest dr B. Wojciechowski z Kalisza.

Pieśni białoruskie wydaje obecnie w Kijowie p. Romanow p. t.: *Bieloruskij sbornik.*

Fanatyzm. *Kur. warszawski* opowiada, że pewna młoda panienka zmarła na tyfus głodowy, ponieważ w ostatnim tygodniu postu żywiła się tylko chlebem i wodą. Oburzające — jeżeli prawdziwe.

Skandale. Biskup madrycki zamordowany został w kościele przez księdza, nazwiskiem Galeotto-Cotillo. W innym kościele znowu postawiono przy grobie w wielki piątek świecę, napełnioną dynamitem, który wybuchnął, raniąc osoby stojące w pobliżu.

Cholera szerzy się we Włoszech, zwłaszcza zaś w miejscowościach portowych np. w Wenecyi, Brindissie, Lucce itd.

Zmarli. Gabryel Charmes, znany publicysta francuski.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Апрѣля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.